

Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA
NR 9

zbiór tekstów uczestniczek „Pisalni” Akademii Kreatywnego Pisania
i kursu Odblokuj się i pisz



Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA
NR 9

zbiór tekstów uczestniczek „Pisalni” Akademii Kreatywnego Pisania
i kursu Odblokuj się i pisz

Oddaję w Twoje ręce dziewiąty numer "Pisalnika" ze zbiorem wyjątkowych tekstów uczestniczek Akademii Kreatywnego Pisania i kursu Odblokuj się i pisz. W tym numerze przeczytasz teksty, które powstały okresie od września do grudnia 2025 r.

Autorki:

1. Sabina Kasoń
2. Marta Kubiak
3. Sylwia Dec
4. Gosia W.
5. Olga Stiefel-Brzezińska
6. Kasia Klein
7. Anna Krasińska
8. Kamila Kamińska
9. Ewa Podgórna-Kopciuch
10. Wiesia Paszek
11. Beata Banaszczyk
12. Agata Schubert
13. Karolina Kulikowska
14. Karolina Sawka
15. Katarzyna Frelik
16. Martyna Głownia
17. Aga Ładocha
18. Kasia Lenart
19. Luiza Maszewska
20. Ewa Brzeska
21. Wiktoria
22. Justyna Rodacka

Ilustrację na okładkę Pisalnika stworzyła Aga Hałas.

Składem i oprawą graficzną zajęła się Aga Hałas.

Jeśli jesteś zainteresowana udziałem w kursach pisania, zapraszam Cię po więcej informacji na moją stronę aleksandramakulska.pl

Miłej Lektury!

Aleks ♥

Spis treści

„Anioł Życzeń” Sabina Kasoń.....	5
„W dobrych rękach” Marta Kubiak.....	17
„AUTOBUS Z PIEKŁA RODEM” Sylwia Dec.....	18
„Puppenhaus” Gosia W.	24
„Studnia” Olga Stiefel-Brzezińska	34
„Lustreczko” Kasia Klein	37
„Stan zdumienia” Kasia Klein.....	41
„Latarka” Anna Krasieńska	43
„Głos wody” Kamila Kamińska	45
„Na skraju wielkiego lasu” Ewa Podgórna-Kopciuch.....	47
„Ciepło, zimno” Wiesia Paszek.....	49
„Zamążpójście” Beata Banaszczyk	51
„Spóźnieni” Agata Schubert.....	53
*** Karolina Kulikowska.....	55
„Chusteczki” Karolina Sawka	57
„Jest za późno” Katarzyna Frelik.....	59
„Schabowy” Martyna Głownia	61
„Kobieta z parku” Aga Ładocha.....	64
„Ostatnia kropla życia” Kasia Lenart	67
*** Luiza Maszewska	70
„Przedświąteczna afera” Ewa Brzeska.....	72
„Bajaderka” Wiktoria	74
„Koszmar” Justyna Rodacka.....	78

SABINA KASOŃ

Anioł Życzeń

— Babuniu, a opowiedz mi o tym, jak byłaś mała. — Mała czarnowłosa dziewczynka prosi swoją babcię o opowieść na dobranoc. Babcia, ze skórą delikatną i cieniutką jak pergamin, której twarz okalają mgiełki zafarbowanych na popielaty jasny blond włosów, otula się usztrykowaną wełnianą chustą, poprawia ogromne, okrągłe okulary i zaczyna snuć opowieść.

To były czasy, kiedy nie było jeszcze Bielska-Białej. Były dwa miasta: Bielsko i Biała. 10-letnia Ninka mieszkała ze swoją mamunią Kamilą, o rok starszą siostrą Alą i 3-letnim braciszkiem Zbyszkiem w niewielkim mieszkaniu w kamienicy koło rynku w Bielsku. Ojciec dzieci, a mąż Kamili zmarł rok wcześniej. Wrócił z wielkiej wojny z gruźlicą. Wtedy mówiło się na to suchoty. Nikt nie mógł mu pomóc.

Ninka, tak jak jej mama, miała ciemne, grube, nieco kręcone włosy. Natomiast Ala — zdecydowanie wdąła się w tatę. Była uroczą blondyneczką ze słodkimi dołkami w policzkach. Dziewczynki dzielił rok, ale były bardzo podobnego wzrostu. I obie na krótkich do brody włosach nosiły kokardy — Ala zwykle niebieską lub czerwoną, a Ninka — białą albo zieloną.

Kamila, niegdyś żona przy mężu, a wcześniej panna z podupadłej szlacheckiej rodziny, której odebrano przywileje i majątek za udział w powstaniu listopadowym, nigdy wcześniej nie pracowała. Teraz, żeby utrzymać czteroosobową rodzinę, podejmowała się szycia i cerowania. Czasem też haftowała obrusy do posagu bogatych mieszczańskich panien — czy to polskiego czy niemieckiego pochodzenia. Mówiła, że pieniądź nie śmierdzi i że pieniądź z rąk uczciwego Niemca tak samo wyżywi dzieci, jak pieniądź od Polaka. I mimo że było to dla niej nowe doświadczenie — utrzymanie finansowe rodziny, często powtarzała, że skoro jej matka mogła sprzedać majątek i pojechać na Sybir, żeby wyrwać z rąk Moskali jedyne go syna, to i ona sobie poradzi. W końcu jest córką swojej matki. I pochodzi z rodu kobiet, które przez wszystkie powstania i wojny musiały umieć sobie radzić.

Bielsko w tamtym czasie było mieszanką kulturową — Polacy, Niemcy i Żydzi. Tarcia były zarówno, między Polakami i Niemcami, widoczne były również postawy antysemitki.

Na ulicach wciąż słyszało się język niemiecki, choć coraz więcej było słyszeć także polskiego. W mieście rozwijał się przemysł włókienniczy, ale też maszynowy. Fabryki produkowały przede wszystkim maszyny dla włókiennictwa właśnie. Bielsko było jednym z pierwszych polskich miast, które posiadało w tamtym czasie linię tramwajową. Linia ta łączyła Dworzec Główny z terenami rekreacyjnymi Cygańskiego Lasu. Tramwaj jeździł ulicą 3 Maja, tuż obok Zamku Książąt Sułkowskich. A wzdłuż Zamku, szło się w stronę rynku.

Tam właśnie, przy rynku w Bielsku, rodzina Bohn zajmowała mieszkanie. Niewielkie lokum na piętrze kamienicy na ulicy Cieszyńskiej, tuż ponad niewielką księgarnią. Póki żył Andrzej, mąż Kamili, mieszkali w dużej willi z ogrodem, nieco dalej od rynku, ale za to w spokojniejszej okolicy. Po śmierci męża – Kamila nie była w stanie utrzymać willi. Musieli się wyprowadzić. Tam, gdzie mieszkali teraz, od rana było gwarno. Jeszcze kilka lat temu na rynku dwa razy w tygodniu odbywał się targ. Ale nawet obecnie od czasu do czasu ustawiano tam jakieś stragany. Kamila posyłała czasem dziewczynki, żeby kupiły na takim straganie ziemniaki albo marchew. Jeśli przekupka była w dobrym humorze, dziewczynki w lecie dostawały od niej garść malin. Sąsiedzi i handlarze z okolicy wiedzieli, że rodzinie jest ciężko. Wiedzieli też, że Kamila jest dumna i nie przyjmie jałmużny. Ale drobne podarki dla dzieci – dawane nie za często – powodowały jej wdzięczność i rozjaśniały skupioną zazwyczaj twarz.

W samym centrum rynku stał pomnik Św. Jana Nepomucena. Dookoła było pełno małych sklepików – rzeźnik, apteka, piekarnia, mleczarnia, tekstylia. Był też jeden sklep, w rogu rynku tuż obok ulicy Celnej, które dziewczynki szczególnie sobie upodobały. Był to sklep z zabawkami. Wchodziło się do niego po kilku schodach. Ciemnobrązowe, drewniane, przeszklone drzwi uchylały przed siostrami magiczny, tajemniczy świat. Od pierwszego dzwoneczka, który po otwarciu drzwi oznajmiał przybycie klienta – wszystko tam było dla dziewczynek baśniowe. Na ciemnych półkach do samego sufitu piętrzyły się pajacyki, miniaturowe domki dla maleńkich laleczek (wyposażone w pełni, we wszystko, co tylko można było wymyślić), małe modele lakierowanych samochodzików, kolejki, karuzele, całe zastępy ołowianych i cynowych żołnierzyków, gotowych w każdej chwili bronić zza drewnianych klocków prawdziwych królowych tej baśniowej krainy – porcelanowych i celulooidowych laleczek, ubranych najpiękniejsze suknie, jakie można było sobie wyobrazić. Niżej były koniki – na biegunach i na kółkach, piłki, warcaby, domino, łódeczka dla lalek. A pod samym sufitem, z kryształowego żyrandola zwisał błyszczący, kolorowy, metalowy model dwupłatowego samolocika, nakręcanego na kluczyk. Och, ależ to był raj dla dziecięcych oczu i dusz. Jednak Ninka i Ala najczęściej zaglądały do sklepu tylko przez witrynę. I któregoś dnia, na tej sklepowej witrynie dziewczynki zobaczyły dwie piękne porcelanowe lale. Jedna miała włosy czarne, jak Ninka. A druga –

blond, zupełnie, jakby to była Ala. Obie lale ubrane były w piękne balowe suknie.

– Aldonka, zobacz, ta lalka ma taką suknię jak Pani Mullerowa – ta, która przyniosła mamuni swoją suknię do zeszyca. Ach, jak bardzo chciałabym mieć taką lalkę. – Ninka aż westchnęła, kiedy wyobraziła sobie, że mogłaby mieć tę zabawkę w swoich rękach.

– Ja też o takiej marzę, o tej, która ma włosy takie, jak moje. – I również z piersi Ali wydobyło się westchnienie. A w tle było słychać dzwoneczki, jakby obok przeleciał anioł. – Nineczka, musimy już wracać, bo mamunia będzie się niepokoić.

Dziewczynki zbiegły po schodkach sklepu, szybciotko skręciły w uliczkę i hop, już były w kamienicy. Ich drobne stóпки tuptały niezbyt głośno, ale dynamicznie, kiedy wbiegały na piętro domu.

– Mamuniu, już jesteśmy.

– Całe szczęście. Weźcie Zbysia do waszego pokoju, zaraz ma przyjść pani Jeleniowa z jakimiś rzeczami do poprawki. Nie chcę, żeby nasz mały wojak powojował z jej cennymi tekstyliami, albo nie daj Bóg, je poplamiał.

– Dobrze mamuniu.

Kiedy tylko dzieci zniknęły w pokoiku dziewczynek, rozległo się pukanie. Kamila podeszła do drzwi i otworzyła je. Za drzwiami stała przysadzista, rosta, nieco starsza już kobieta, w eleganckim płaszczu sięgającym do połowy łydki. Twarz przysłaniał modny kapelusz. To była pani Jeleniowa. Kamila jednak nie zwróciła uwagi w pierwszej chwili, że klientka nie przyszła sama.

– Dzień dobry pani Kamilo.

– Dzień dobry pani Jadwigo, proszę wejść, zapraszam.

– Przyszłam dziś z pomocnikiem, za dużo tego wszystkiego przyniosłam do cerowania, nie uniosłabym. To mój syn, Hubert.

Kamila podała mu dłoń do pocałowania, a kiedy Hubert wyprostował się już i spojrzał na kobietę, nie mógł od niej oderwać wzroku. Wiedział, że nie wolno mu się gapić, to było niestosowne, dlatego rzucał ukradkowe spojrzenia. Myślał, że idzie z matką do zwykłej szwaczki, ale u tej kobiety znać było zarówno pochodzenie, jak i maniery. To nie była pierwsza lepsza cerowaczka. Może już nie najmłodsza, ale nie mogła być od Huberta starsza o więcej niż 10 lat. Jej czarne, modnie przycięte włosy lśniły jak heban. A kiedy uśmiechała się do jego matki, w policzkach ukazywały się takie urocze dołeczki.

– Może napiją się państwo herbaty, taka dziś pogoda, że herbata z pewnością nieco rozgrzeje.

– Z chęcią pani Kamilo. Hubercie?

– Oczywiście, poproszę.

Kamila wyszła na moment do sąsiedniego pokoju. A Hubert usłyszał tylko ciepły dziewczęcy głosik:

– Dobrze mamuniu, w tej chwili mamuniu.

I ciemnym korytarzykiem mieszkania przemknęła jakaś niewielka postać. Tymczasem krawcowa wróciła do swojej klienteli.

– Pani Kamilo, chciałabym, żeby pani pocerowała i ewentualnie tam, gdzie trzeba naszyła łatki na bieliznie pościelowej. To jeszcze całkiem dobre płótno jest, na zgięciach czasem się przeciera.

Hubert przestał słuchać matki. Wpatrywał się w Kamilę jak urzeczony. Z każdą chwilą kobieta podobała mu się coraz bardziej.

W pewnym momencie do pokoju wmaszerowały dwie dziewczynki – na oko 10–11–letnie. Jedna – włosy miała ciemne, jak matka. A druga – nieco wyższa – była śliczną blondyneczką.

– Mamuniu, herbata. – Powiedziała blondynka i postawiła tacę z imbrykiem i trzema filiżankami na stoliku. Druga z dziewczynek przyniosła półmisek, na którym leżały równo nakrojone kawałki pachnącego ciasta drożdżowego.

– Proszę mamuniu. – Cichutki, nieśmiały głosik wydobył się z malutkiej brunetki.

– Dziękuję dziewczynki. A teraz wracajcie do Zbysia.

– Dobrze mamuniu. – Jak na komendę obie dziewczynki odpowiedziały matce i z radosnymi śmiechami wybiegły z salonu.

– Co za rodzina! I pani Kamila – taka wspaniała. I te dziewczynki – takie ułożone. I jeszcze mały chłopiec gdzieś tu jest. Coś niesamowitego! – Hubert pogrążony w swoich przemyśleniach częstował się świeżym ciastem. A kiedy z matką opuścili mieszkanie pani Bohnowej, do samego wieczora nie mógł przestać myśleć o tej rodzinie.

Tej nocy Ninkę obudził jakiś dźwięk. W pierwszej chwili nie wiedziała, co to. Było cichutkie. Tak cichutkie, że pomyślała, że może ten dźwięk przyśnił jej się. Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że to był płacz. A jak jeszcze chwilę posłuchała – to wiedziała już, że to płacze jej mamunia. I wtedy do Ninki dotarło, jak bardzo była samolubna, że chciała lalkę. Tak, wtedy kiedy stały z Aldonką pod sklepem – marzyła o tej pięknej, porcelanowej lalce z długimi czarnymi włosami i w pięknej balowej sukni. Ale teraz, kiedy słyszała płacz mamuni, pomyślała, że o wiele bardziej od lalki wolałaby, żeby tatuś był z nimi. Wtedy mamunia nie byłaby smutna, nie musiałaby pracować i cerować tych wszystkich okropnych rzeczy. Same miałyby takie piękne rzeczy, jak klientki przynoszą mamuni do cerowania. Tak. To było to. Zdecydowanie od lalki wolała, żeby tatuś był z nimi. Znowu usłyszała jakiś dźwięk. Jakby za oknem. Jakby to wiatr trącił jakieś dzwoneczki zawieszane na drzewie. A może to obok przeleciał Anioł?

Tymczasem za ścianą, Kamila starała płakać się jak najciszej, żeby nie pobudzić trojga drobiazgów. Jak to się stało, że znalazła się w tej sytuacji. Przecież jeszcze kilkanaście lat temu, mieszkała z rodzicami, siostrami i bratem w wielkiej kamienicy przy

rynku w Kłobucku. Najstarsza siostra, która już zdążyła wyjść za mąż — razem ze swoją nową rodziną mieszkała wtedy w kamienicy obok. Byli szczęśliwi, mieli wszystko, czego potrzebowali. A potem — wyszła za mąż, za syna bogatego ziemianina z Wapienicy, wsi koło Bielska. I zamieszkali w pięknej willi, nie całkiem w centrum, za to z ogrodem, w którym dzieci miały zdobywać pierwsze siniaki i zadrapania — od biegania, wspinania się po drzewach. Mieli nianię, która pomagała Kamili przy malutkich dziewczynkach. A potem przyszła Wielka Wojna. I Andrzej ruszył z wojskiem pruskim. Musiał. Nie miał wyjścia. Co dzień modliła się o to, żeby wrócił żywy do domu. Mieszkała z nią matka. Razem było jakoś łatwiej. A potem wojna się skończyła i bóg dał, że Andrzej wrócił już z polskim wojskiem do domu. Jakże ona się wtedy cieszyła. Wierzyła, że już wszystko będzie dobrze. Że odetchnie. Urodził się im Zbysio. Ale Andrzej wtedy zachorował. Na suchoty. Nie mogli mu pomóc. Z wojny to przywiózł, tak mówił lekarz. I ledwie parę miesięcy po urodzinach Zbysia, zmarł. A w tym roku, w lecie, zmarła też jej matka. A teraz, zbliżają się święta, a ona z dziećmi zostali całkiem sami. Niby w Bielsku mieszka jedna z jej siostr, ale ona co roku spędza święta z rodziną męża. I mimo że Kamila wzięła się do pracy — szyje, ceruje, robi poprawki krawieckie czy haftuje — to dużego pieniądza z tego nie ma. Nawet nie wie, czy będzie ją stać na choinkę w tym roku. Czy choćby po jednej pomarańczy dla dzieci od starej Żydówki z rynku. Przecież ona nie potrafi wiele więcej, niż dom prowadzić i szyć. Ach, gdybyż tylko znalazła w kimś oparcie. I znowu ten dźwięk. Jakby za oknem. Jakby to wiatr trącił jakieś dzwoneczki zawieszane na drzewie. A może to obok przeleciał Anioł?

Następnego dnia spadł śnieg. Całe mnóstwo śniegu, chwycił też mróz. Kamila cały dzień szyła, a dziewczynki, ubrane w jednakowe płaszczyki i czapeczki, poszły znów na rynek. Bo dziś na rynku stawiali i ubierali choinkę. Wokół pałętało się mnóstwo dzieciaków. Biegały, śmiały się, lepily bałwany, rzucały śnieżkami. Ala z Ninką stały i patrzyły na choinkę.

Choinka była ogromna — jeszcze nigdy takiej dużej choinki poza lasem nie widziały. Na choince zawieszano właśnie ogromne błyszczące czerwone bombki i złote, blaszane gwiazdy. Fabryki włókiennicze dostarczyły materiał na kokardy. A bielscy piekarze — ufundowali łańcuch z lakierowanych pierników. Na choince nie było świeczek, ale otaczały ją rynkowe gazowe latarnie i z pewnością wieczorem ich blask będzie się odbijał od błyszczących ozdób.

— Zobaczysz, w tym roku nie będzie u nas w domu choinki. — Powiedziała z przekonaniem o rok starsza Ala

— Dlaczego nie? — Zmartwionym głosem odezwała się Ninka

— Jak to? Nie wiesz? Mamunia nie ma pieniędzy na takie zbytki. Oczy wypatruje przy szyciu, ale na choinkę na pewno zabraknie.

– Mamunia kupi nam choinkę. Wiem!

– A co ty możesz wiedzieć, mała jesteś.

– Tylko rok młodsza od ciebie. Mamunia lubi jak w domu na święta jest choinka i na pewno będzie w tym roku.

Kiedy dziewczynki tak spierały się o to, czy choinka pojawi się w domu na święta czy nie, nie zauważyły, że ktoś inny przypatrywał się też dekorowaniu miejskiej choinki. To był pan Hubert Jeleń, który ostatnio przyszedł ze matką swoją matką do Kamili z zamówieniem na cerowanie bielizny pościelowej. Ten, który tak bardzo przyglądał się Kamili. Ten, który w skrytości serca, już Kamilę pokochał. Razem z jej dołeczkami. I razem z jej trójką drobiazgów. Nie miał odwagi wyznać jej uczucia, ale teraz, kiedy usłyszał te dwie małe istotki spierające się o choinkę w ich małym mieszkaniu, wiedział, co musi zrobić.

Tymczasem dziewczynki wracały do domu. Minęły starą Żydówkę, która stała z koszami pełnymi pomarańczy. Włosy miała częściowo zakryte chustą, upiętą na kształt czepca, na czubku głowy. Na ramiona narzuciła szal. Widać udzięgała go z resztek różnokolorowych włóczek – bo szal przy szyi był bardziej karminowy, później przechodził w pomarańcz, a na dole, tuż przy łokciach – był żółty. Spod chusty wystawały rękawy szarego płaszcza. Na łokciach miała zawieszane dwa wiklinowe kosze pełne owoców pomarańczy. Pachniały, bardzo. Dziewczynki aż przełknęły ślinkę. Oj, dawno nie jadły tych owoców, a bardzo lubiły je zimą. Staruszka w dłoniach trzymała robótkę – widać nie chciała stracić nawet chwili i dziergała pewnie kolejny szal. Jej pomarszczona twarz, tak podobna do skórki pomarańczy, wyrażała smutek i brak nadziei. Widać, jej także trudno było związać koniec z końcem w nowym, powojennym Bielsku.

Wróćmy jednak do kawalera Jelenia. Kiedy Hubert wszedł do domu, ściągnął swój zimowy homburg, otrzepał ze śniegu palto z kołnierzem z bobra i zdecydowanym krokiem wmaszerował do salonu, gdzie jego matka przy kominku czytała nowe wydanie Opowieści wigilijnej Dickensa.

– Matko, musimy porozmawiać.

– Hubert, a czemuż to jesteś taki poważny?

– Zakochałem się i chcę się oświadczyć.

– Zakochałeś się? A kiedyż to? Cóż to takiego się nagłego stało? I w kimże to się zakochałeś synu? – pani Jadwiga Jeleniowa wyrzucała ze siebie kolejne pytania, zaskoczona wyznaniem syna.

– W pani Kamili Bohnowej.

– Bój się boga, Hubercik! Przecież to wdowa, na dodatek sporo starsza od ciebie, a jeszcze z trojgiem drobiazgu. I szwaczka! Nie masz mojej zgody na to. Nie! Nie pozwalam. I to jest moje ostatnie słowo. Nie chowałam ciebie dla jakiejś ubogiej, podstarzałej szwaczki, z trójką dzieci. Nie ma mowy. – I zdenerwowana z trzaskiem zamknęła

książkę i wyszła z salonu do swojej sypialni. I tyle Hubert ją widział tego wieczoru. Słyszał jeszcze jak Antosia, ich gospodyni, mówi, że melisę jej zaparzyła. Ach, czyli widać mocno musiała mateczka się zdenerwować. Hubert nie wiedział, co robić, kiedy on czuł się taki zakochany i tak bardzo chciałby ożenić się z Kamilą. W tej chwili niczego innego nie pragnął, jak tylko pojąć ją za żonę. I dziwne, bo kiedy o tym pomyślał, usłyszał dźwięk. Jakby za oknem. Jakby to wiatr trącił jakieś dzwoneczki zawieszane na drzewie. A może to obok przeleciał Anioł?

Tymczasem, pani Jeleniowa modliła się, żeby znaleźć ukojenie. Jak jej syn mógł coś takiego zaproponować? Przecież wiedział, że już rozgląda się dla niego za odpowiednią partią. Mało to było w Bielsku bogatych panien na wydaniu, w jego wieku i młodszych? On musiał się uprzeć na tę starszą wdowę z trójką dzieci? Przecież to mezalians! Panie Boże, ratuj. Jadwiga odmówiła całą koronkę do serca jesusowego, kiedy w końcu przyszedł sen. Ale nie był to sen spokojny. Śniła nerwowo, że Hubercik się jej nie chce posłuchać. Że ucieka, że krzywdę chce sobie zrobić. Aż nagle przyszedł spokojny sen. Jasność nastąpiła w tym śnie. I ujrzała Anioła. I Anioł przemówił:

– Nie staniesz na drodze miłości swojego syna, bo sprowadzisz na niego nieszczęście i cierpienie tylko.

Anioł stawał się coraz jaśniejszy, blask bił w oczy Jadwigę. W pewnym momencie – ten blask aż wybuchł jej prosto w oczy. Zerwała się z łóżka. Obudziła się z westchnieniem przerażenia. Nie, nie mogła przeszkodzić szczęściu najmłodszego syna. Jeśli anioł tak kazał, posłucha go. Rano da Hubertowi swoje błogosławieństwo. I pierścionek zaręczynowy swojej matki. Kiedy tamta umierała, kazała Jadwidze przysiąc, że ten pierścionek otrzyma narzeczona Hubusieczka, jak mówiła o swoim najmłodszym wnuku matka Jadwigi.

Nadszedł wigilijny poranek. Kamilę o 6 rano obudziło pukanie do drzwi. O tej porze to tylko złe wieści przynoszą, pomyślała kobieta, zakładając na koszulę nocną podomkę i szal. Z lampą naftową podeszła do drzwi. Z drugiego pokoju przez drzwi wyglądały dwie główki: blond i czarna.

– Mamuniu, kto to?

– Jeszcze nie wiem, ale zaraz się dowiemy. – Odpowiedziała dziewczynkom, starając się, aby nie wyczuły w jej głosie strachu.

Otworzyła drzwi.

– Pani Kamila Bohnowa?

– Tak, a o co chodzi?

– Mamy dla Pani dostawę, możemy wejść?

Kamila uchyliła szerzej drzwi, a do domu zaczęli wlewać się tragarze z ogromną, pachnącą choinką, koszami zawierającymi suszone owoce, grzyby, buraki, kapustę,

groch, jaja, mąkę, ryby, mięsa i szynki. Chleby i bułeczki. Masło i śmietanę. W kolejnych koszach były orzechy, torebka kawy, herbata, sok z malin i prawdziwy miód. A w ostatnim – jabłka, cytryny i... pomarańcze.

– Panowie, ale to chyba jakaś pomyłka. Ja tego nie zamawiałam.

– Tak, zgadza się. Wszystko zostało już opłacone. Mieliśmy dostarczyć do lokalu numer 2, na ulicy Cieszyńskiej 1, do pani Kamili Bohnowej. Czy to tu?

– No tak. Ale... ja... tego... nie... zamówiłam... Nic nie rozumiem.

– Wesołych świąt szanownej pani!

– Bóg zapłać! Wesołych świąt!

I tragarze, tak, jak nagle się pojawili, tak, nagle zniknęli.

– Mamuniu, czy to nasza choinka? Jaka ona piękna! Jaka duża! A jak pięknie pachnie! A jaka zielona! – Ekscytowały się dziewczynki jedna przez drugą.

– Cińka! – Mały Zbysiu obudzony odgłosami dobiegającymi z korytarza rozpromienił się widząc piękne drzewko.

– Mamuniu, zrobimy z Nineczką ozdoby z papieru na choinkę. Koszyczki, pawie oczka, gwiazdki, śnieżynki!

– I aniołki i dzwoneczki. I jeszcze koniecznie łańcuch Aleńko zrobimy! – Ninkę również pochłonęły te plany.

– I Zbysia nauczymy robić papierowe pajacyki z kółeczek.

Dziewczynki złapały się za rączki i zaczęły tańczyć przy choince.

Kamili ze szczęścia napłynęły łzy do oczu. Któż był tym ich dobrodziejem? Nie mogła się domyślić.

– Dziewczynki, ale zanim zaczniecie ozdabiać choinkę, musicie mi pomóc to wszystko zanieść do kuchni i do spiżarki. Potem zjemy postne śniadanie. I wtedy wy zajmiecie się ozdobami, a ja zacznę przygotowywać wigilijną kolację.

Mieli dziś zjeść kaszę jęczmienną na śniadanie. Ale zapach świeżego pieczywa i maśła, które przed chwilą dostarczono do ich domu, był bardzo kuszący. Do chleba Kamila uszykowała herbatę i kawę zbożową. I cały czas zastanawiała się, któż mógł je tak obdarować.

Zagadka rozwiązała się, kiedy już prawie kończyli jeść śniadanie. Ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

Zdziwienie Kamili, kiedy otworzyła drzwi nie mogło być większe. W progu stał syn pani Jeleniowej.

– Dzień dobry pani Kamilo, czy pozwoli mi pani wejść?

– Dzień dobry, proszę, ale zamówienie dla pana matki nie jest jeszcze gotowe.

– Zamykając drzwi wdowa Bohn pomyślała, że ten dzień staje się coraz dziwniejszy. A dopiero była 9 rano.

– Tak, ja nie w sprawie zamówienia. – Na policzki Huberta wy płynął rumieniec. Nagle stracił nieco odwagę, z którą tu przyszedł.

Kamila wskazała mu wieszak, na który odwiesił swój płaszcz.

– Przepraszam, ale właśnie kończyliśmy z dziećmi śniadanie. – Dotknęła dłonią krótkich włosów, jakby sprawdzając czy wszystko jest na swoim miejscu, kiedy o tak wczesnej porze odwiedza ją syn klientki.

– Ależ nie ma pani za co przepraszać. W sumie to ja powinienem błagać o wybaczenie za to najście. Ale potrzebuję wyjaśnić pewną sytuację.

– Dziewczynki, posprzątajcie proszę po śniadaniu. I przynieście dodatkową filiżankę dla pana Huberta.

– Dobrze mamuniu.

– Jak dobrze ułożone córeczki. – Zaczął nieśmiało.

– Dziękuję. Tak, to dobre dzieci. – Kamila była nieco zdezorientowana, nie wiedziała wciąż, jaki był charakter tej wizyty.

Kiedy dzieci wyszły z salonu, Hubert wziął głęboki oddech i pomyślał: teraz, albo nigdy.

– Pani Kamilo, proszę mi wybaczyć, tę nagłość i to jeszcze przed samymi świętami. Jestem człowiekiem rozsądnym, trzeźwo myślącym, który nie ceni szalonych decyzji. Ale kiedy panią zobaczyłem, kiedy widziałem, z jaką hardością stawia pani czoło całemu światu, zrozumiałem, że jest pani jedyną kobietą, z którą pragnąłbym związać swoje życie. Serce moje natychmiast ujęła pani godność i siła, która od pani bije.

Hubert przerwał na moment, jakby zbierał myśli po tym pierwszym wyznaniu.

– Wiem, że jest pani zaskoczona moim wyznaniem. Pewnie uważa je pani za zuchwłość i impertynencje. Wiem, że jest pani wdową, która niesie na swych barkach ciężar przeszłości. Ale muszę wyznać, że pokochałem panią. Pokochałem Panią tak, że nie wyobrażam sobie innej przyszłości. Pokochałem też pani cudne córeczki, które przyjąłbym pod swój dach, jako cenny dar od losu.

Zerwał się z krzesła i przyklęknął na kolano, jednocześnie ujmując delikatnie w swoje dłonie drobną dłoń Kamili.

– Moim najwyższym zaszczytem będzie móc Pani i dzieciom zapewnić dom, bezpieczeństwo i nazwisko, które od tej chwili chronić będę z największą pieczołowitością. Pani Kamilo, proszę, czy uczyni mi Pani ten honor i przyjmie moje nazwisko i zostanie moją żoną?

Kamila nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się wydarzyło. Tak, kiedy Hubert przyszedł z matką, zwróciła na niego uwagę. Ale nie zaprzętała sobie nim długo głowy. Był dużo młodszy, lepiej sytuowany. A ona, wdowa z trójką dzieci. Jakże on mógłby ją chcieć. A jednak.

Spojrzała w jego orzechowe oczy. Nie wiedziała tam nic, poza czułością i wielką nadzieją. Jego piękna młodzieńcza twarz cierpliwie przyjmowała minuty, kiedy Kamila zastanawiała się nad odpowiedzią.

Pojawienie się dołeczków, tych słodkich dołeczków w policzkach Kamili wyprzedziło o ułamek sekundy uśmiech, który rozkwitł na jej twarzy. Czuł już tę odpowiedź, zanim padła na głos.

– Czyni mi pan wielki zaszczyt swoją prośbą. Proszę zważyć, że nie tylko jestem wdową, ale też kobietą dużo starszą od pana. I obecnie nie dysponuję posagiem, poza trójką moich dzieci. Jeśli to panu nie przeszkadza, to tak, z największą radością i honorem oddam panu moją rękę. Ojciec mój już nie żyje, a brat mieszka w Toruniu, więc sama muszę mą ręką rozporządzać.

– Ach Kamilo, sprawiła mi pani najpiękniejszy prezent świąteczny. Zatem i ja mam dla pani coś, co przypieczeruje nasze szczęście. – Hubert sięgnął do wewnętrznej kieszonki marynarki i wyciągnął z niej maleńki skarb – pierścionek zaręczynowy swojej babki.

– Moja babka z dziadkiem byli bardzo szczęśliwi. Zapisła ten pierścionek mej narzeczonej, aby i jej i mnie przyniósł tyle szczęścia, co im. – To mówiąc Hubert włożył na serdeczny palec prawej dłoni prawdziwe cudo rękodzieła jubilerskiego. Niezbyt gruba obrączka zamykała w koszyczku na górze owalny szafir, który otoczony był maleńkimi brylancikami. A dookoła brylantów znowu znajdowała się otoczka z szafirowych oczek. Samą obrączkę również zdobiło kilka brylantów.

– Ależ on jest przepiękny! – Westchnęła wzruszona Kamila. A Hubert ucałował jej dłoń, a następnie złożył delikatny pocałunek na jej policzku.

– Moja matka będzie zaszczycona, jeśli, jako moja narzeczona, przyjmie pani zaproszenie, wraz z dziećmi oczywiście, na dzisiejszą kolację.

– Będzie to wielka radość spędzić wieczór z pana – zawahała się – z twoją rodziną i z tobą, Hubercie.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy był tak nagły i tak uroczy, że przysłcały formalny i podniosły nastrój chwili. Kamila i Hubert spoglądali już w przyszłość z nadzieją trzymając się za ręce. A w oddali, gdzieś za oknem daleko, słychać było dzwoneczki. A może to właśnie przeleciał Anioł?

Ale, ale, to jeszcze nie koniec historii. Bo przecież Anioł życzeń miał do spełnienia jeszcze jedno zadanie.

Kamila wyjaśniła dziewczynkom, że mają zaproszenie na kolację do pani Jeleniowej i jej syna, pana Huberta. Nie tłumaczyła im na razie nic więcej.

Kiedy młody mężczyzna przyjechał po całą rodzinę wieczorem saniami, nie dowierzał, że to ta sama Kamila, którą kilka dni temu zobaczył pochylającą się nad bielizną

pościelową jego matki. Była jeszcze piękniejsza. Włosy upięta w luźny kok na czubku głowy, przyozdobiła go gałązką ostrokrzewu. W uszach miała piękne kolczyki. Jej oczy błyszcząły z radości, uśmiech nie schodził z ust, kiedy razem z dziećmi ładowali się do sań. Gdy przybyli do domu matki Huberta, młody mężczyzna był już całkowicie oczarowany swoją narzeczoną. Tak pięknej jej nie widział. Kamila złożyła suknię, którą nosiła jeszcze jako żona Andrzeja. Była to suknia na szerokich ramionach z zielonego aksamitu, z narzutką z czarnej delikatnej koronki, u góry prosta, lekko rozszerzająca się od kolan. Koronka przetykana była złotą nicią. Narzutka miała krótki rękawek. Szyję Kamili zdobił pasujący do kolczyków naszyjnik. Dziewczynki były ubrane równie szycownie – Ninka miała ciemnoczerwoną sukienkę, a Ala – granatową. Sukieneczki były identyczne, wykonane z ciepłego aksamitu, z długimi prostymi rękawami, z rozszerzaną spódniczką, do kolan. We włosach dumnie tkwiły ogromne kokardy pod kolor sukienek. Zbysio ubrany był w swój odświętny marynarski strój.

Kamila i dziewczynki oczarowały całą rodzinę Jeleniów – braci Huberta – Bernarda i Sylwestra oraz jego bratowe – Helenę i Józefę. Dziewczynki grzeczne i ułożone, nie pytane, nie odzywały się. Na zmianę opiekowały się braciszkiem.

Zanim rodzina zasiadła do wieczerzy, odczytano fragment biblii o narodzeniu Pana i zmówiono modlitwę. Potem wszyscy dzielili się opłatkiem. Kiedy skończono podawać zupy, Hubert w pewnym momencie wstał, trzymając w dłoni kieliszek z wiśniowym winem, oznajmił:

– Wigilia i Boże Narodzenie to czas szczególny. Narodził się nasz Pan, Jezus Chrystus, który przyszedł nas zbawić i odkupić nasze winy. A we mnie dziś narodziła się również nadzieja na szczęście. Chcę was bowiem poinformować, że pani Kamila łaskawie spojrziała dziś na mnie i przyjęła moje oświadczenia. Zatem, jak Dzieciątko Jezus pozwoli, to na Wielkanoc spodziewajcie się zaproszenia na nasz ślub. – Kiedy kończył, wszystkie panie miały tży wzruszenia i szczęścia w oczach. Jadwiga złapała Kamilę w ramiona i mocno ją uścisnęła. Wiedziała już, że to Anioł kierował decyzją jej syna. Nastąpił gwar i hałas – wszyscy przekrzykiwali się życząc parze narzeczonych szczęścia, gratulując, ściskając i obcałowując.

– Aleńko, słyszałaś, będziemy miały tatusia. – Ninka nie mogła ukryć swojej radości z tego, że spełniło się jej świąteczne życzenie. Za oknem, w oddali słychać było dzwoneczki.

Po kolacji, cała rodzina przeszła z jadalni do sąsiadującego z nią salonu. Stała tam najpiękniejsza choinka, jaką można sobie było wymarzyć. A pod choinką cała góra prezentów opakowanych w piękne kolorowe papiery, przewiązane wstążkami.

Sylwester podszedł do fortepianu i zagrał pierwsze takty kolędy „Bóg się rodzi”. Cała rodzina zaczęła śpiewać. Kiedy kolęda wybrzmiała, Jadwiga, spoglądając na dziewczynki rzekła:

– W naszej rodzinie jest taka tradycja, że zawsze najmłodsze z dzieci pomaga aniołkowi i rozdaje prezenty. Zbysio jest jeszcze zbyt mały, żeby przeczytać bileciki, ale może panna Ala i panna Ninka mogłyby rozdać prezenty. A ty, Hubusiu, pomożesz im, żeby wiedziały do kogo mają podejść.

Och, co to była za wspaniała chwila. Dziewczynki poczuły, że mają bardzo ważną misję do wykonania. Na zmianę czytały bileciki dołączone do prezentów, a Hubert pomagał im trafić do właściwej osoby. Dzięki temu poznały całą rodzinę i nawiązały pierwsze nici relacji z nowymi krewniakami. Na koniec wieczoru czekała je ogromna niespodzianka – bo dla dziewczynek też znalazły się prezenty pod choinką. Dwa identyczne podłużne pudełka, przewiązane kokardkami – czerwoną i zieloną – stały oparte o ścianę przy choince. Kiedy dziewczynki rozwinęły pakunki i uniosły wieczka, aż zapiszczały z radości. W pudełkach tkwiły lalki, o których tak marzyły. Gdzieś tam za oknem słychać było dzwoneczki.

Zatem, Czytelniku miły, pamiętaj, żeby marzyć, bo Anioł życzeń usłyszysz też Twoje marzenie. A wtedy – Ty możesz gdzieś tam za oknem usłyszeć dzwoneczki, trącone wiatrem. A może to będzie przelatował Anioł?

MARTA KUBIAK

W dobrych rękach

Matylda tego dnia przyszła wcześniej niż zwykle. Nie dlatego, że musiała, po prostu chciała posiedzieć w spokoju, zanim sala zacznie wypełniać się ludźmi. Pachniało świeżo zmieloną kawą. Usiadła przy stoliku pod oknem i otworzyła notes. Chciała zapisać skrawki myśli nim jej uciekną. Dłoń jej lekko drżała. A ostatnio drżała coraz częściej.

Łukasz zauważył ją od razu, kiedy wszedł kupić sobie kawę na wynos.

– Wyglądasz, jakbyś próbowała się zatrzymać – zagaił ją

– Myśli próbuję zatrzymać, a te pędzą jak szalone – odpowiedziała.

Usiadł naprzeciwko niej, jeszcze zanim zdążyła odłożyć pióro. Zawsze siadał naprzeciwko niej. Jakby to było najbezpieczniejsze miejsce w całej kawiarni.

– Mogę? – zapytał, wyciągając rękę, ale nie dotykając jej dłoni.

Kiwnęła głową. Jego palce delikatnie objęły jej nadgarstek. Ciepło przeszło przez jej skórę szybciej niż cokolwiek, co pamiętała z ostatnich miesięcy.

– Wciąż drży – szepnął – Ale tylko dlatego, że zbyt długo była sama.

Matylda zamknęła notes.

– Czasem mam wrażenie, że moje ręce wszystko gubią – przyznała cicho. – Spokój, odwagę, sens. Jakby niczego nie potrafiły utrzymać.

Łukasz powoli przesunął kciukiem po wewnętrznej stronie jej dłoni. Niespiesznie. Uważnie.

Tak, jak dotyka się czegoś, co chce się zrozumieć, a nie osiąść.

– Może to nie problem twoich rąk – powiedział. – Tylko tego, że nikt ich dość długo nie trzymał.

Matylda uniosła wzrok. W jego oczach nie było pożądania ani litości. Tylko pewność. Taka, której nie miała w sobie od dawna.

– A ty? – zapytała – Ty trzymałbyś?

Uśmiechnął się tak, jakby bał się, że zbyt szeroki uśmiech ją przestraszy.

– Gdybyś pozwoliła... trzymałbym je tak, żebyś wreszcie wiedziała, że jesteś w dobrych rękach.

SYLWIA DEC

AUTOBUS Z PIEKŁA RODEM

Czy wam się też wydaje, że autobus to szatański wynalazek ludzkości?

Pomyślcie tylko: rano każdy jest wkurwiony. Rano każdy mógłby zamienić się w mordercę. Złapać za nóż, rzucić się do gardła, zajebać kogoś tylko dlatego, że odezwał się nie tym słowem, co trzeba.

Co robią normalne istoty: rano unikają siebie wzajemnie.

A co robi ludzkość: wymyśla autobus.

Autobus, czyli miejsce, gdzie wszystkie wkurwione osoby z okolicy muszą się tłoczyć jak sardyny w puszcze. Diaboliczne! Szatańskie! Idealne!

Rozkoszowałem się tym, gdy rano jechałem do pracy. Nie potrzebowałem wiele, by nadrobić wiedzę o nędznym życiu i mikrym świecie Dareczka. Moja matka albo mój ojciec wyzwaliby mnie od niegodnych, od kalających się żalosnymi ludzkimi zabawkami, ale ja już dawno zorientowałem się, że wystarczy obcykać internet, by poznać człowieka do głębi. Dlatego bez problemu zorientowałem się, jak dotrzeć do pracy Dareczka, z właściwą sobie bystrością odkryłem, co on tam robi i jak na ogarniętego typu przystało, ułożyłem sobie w głowie plan.

Moja matka z ojcem mogą sobie w dupę wsadzić swoje oburzenia i złości. Jedno się do mnie nie odzywa, drugie spierdoliło nie wiadomo gdzie – żadnego nie zamierzałem teraz słuchać, nawet, jeśli byli tylko głosami w swojej głowie. Można to uznać za pewną ironię losu, że moja matka, pani Śmierć, władająca przez eony królestwem zaświatów, teraz jest dla mnie jak umarła. Zniknęła bez słowa, roztopiła się jak śnieg, zostawiła kilka nędznych słów i kilka równie żalosnych wspomnień. Gdybym chciał, mógłbym zrozumieć, o co chodzi ludziom z tą całą żalobą, z tą rozpaczą, gdy ktoś znika. Dlaczego wtedy świrują, płaczą, sypią hajsem na terapeutów albo rozdzierają szaty w zależności od tego, w jakiej epoce żyją. Ale cóż, w mojej rodzinie zawsze lubiliśmy być ironiczni. A ja nie chciałem zajmować się moją matką nawet w myślach, skoro ona postanowiła nie zajmować się swoim królestwem. Jestem ponad to.

Dlatego teraz mogłem czerpać pełną radość z obserwacji ludzi w autobusie. Przysięgam, całe piekło i szatani siedzieliby razem ze mną na widowni, gdyby tylko wiedzieli, jakie to przednie widowisko.

Na przykład: teraz.

Obok mnie siedzi koleś z burchlem na nosie, czerwony jak cała mateczka Rosja, ubrany w kurtkę, która musiała pamiętać upadek muru berlińskiego i jeszcze kilka innych, bardziej osobistych upadków. Za nim na siedzeniu para hipsterów, obaj z brodą, obaj z samurajskim koczkim, albo już wiedzą, że są gejami i kochają się w sobie na zabój, albo odkryją to niebawem. Najpewniej wtedy, gdy do ekipy dołączy trzeci samurajski koczek. Nieopodal – matka z dziećmi, dwa kaszojady w wózku dla bliźniaków, każdy już za duży na takie urządzenie, ale najwyraźniej matka potrzebowała czegoś, by trzymać ekipę na uwięzi. A na podwójnym siedzeniu rozsiada się gówniara w różowej czapce. Siedzi i rypie coś w telefonie, jakby jej klapki na oczy założyli. Ale nad jej głową już stoi baba w berecie, w pomarszczonych rękach trzyma torby z dyskontu, pod nosem sapie. Sapie! Sapie jak ognisty rumak z samego środka piekieł i wzrok wbija w gówniarę. A gówniara – rozkosznie ślepa nadal rypie w telefon, a ja tylko patrzę i czekam, czekam i patrzę, aż wiadro pomyj ognistych wyleje się nad jej głową.

– A kultury to dziecko nie ma? – Baba z Torbami nie wytrzymuje w końcu i ciska teatralny szept, który dociera do połowy autobusu. Wtedy przedstawienie zaczyna się na dobre. Burchel na Nosie sarka pogardliwie, Samurajskie Koczki oglądają się lękliwie za siebie, jakby się bali, że to do nich, a Matka Kaszojadów nadstawia ciekawie ucha, rada najwyraźniej, że to nie owoce jej żywota odpierdalają teraz przedstawienie.

Tymczasem przedstawienie – trwa w najlepsze.

– Może by tak kultury trochę? – Baba z Torbami pochyla się nad Różową Czapką i już nie szepcze, już nawet nie teatralnie, już oficjalnie podnosi głos i grom zaczyna ciskać.

Różowa Czapka tymczasem dalej nic, śmieje się do ekranu, rozkosznie nieświadoma, ślepa jak małe kocię. Nie widzi, że Burchel na Nosie już sapie jak Baba w Berecie, że Samurajskie Koczki zaczynają coś mamlać między sobą, że nawet Kaszojady gapią się na nią ciekawie tak, jako i ich matka.

– Halo, kultury trochę – grzmi wreszcie Baba z Torbami, wisząc na żółtej rurce jak Chrystus, męczennik narodów, a wtedy Różowa Czapka podnosi na nią wzrok. Rozkoszny to jest wzrok, niewinny i lekki, wzrok ślepy na to, co się dzieje dookoła zupełnie.

– No, ja tu serial oglądam, jest kultura – odpowiada radosnym tonem.

I pochyla się, by oglądać dalej.

A wtedy w autobusie dzieją się rzeczy niesamowite. Baba z Torbami zaczyna produkować monolog. Słowa kluczowe: zgroza, wstyd, skaranie boskie, ta dzisiejsza młodzież, kiedyś to było, za grosz kultury, kto ich wychowywał, świat na głowie staje. A autobus dzieli się na dwie gromady, na dwie drużyny, rozstępuje się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Burchel na Nosie dołącza do monologu Baby z Torbami.

– Bo oni teraz wszyscy tacy, zero kultury, bez pasa chowani, jak mi ojciec z pasa dawał, to od razu wiedziałem, co robić a czego nie robić – odpala swój lament ochryptym głosem, kręcąc się na siedzeniu, a Baba z Torbami podchwytuje tę litanie.

– Oj, bez pasa, bez pasa, panie kochany, teraz tylko bezstresowe wychowanie i widać, co się dzieje na ulicach, ja bym tu skonać mogła, a ta dziewczucha nawet nie podniosłaby wzroku.

A wtedy nowa fala zrywa się, nowa fala dołącza do sporu, Mojżesz widzi, że morze się go nie słucha.

– Oj, dużo ma pani energii jak na osobę, która by skonać mogła – to Samurajski Koczek 1 włącza się w dyskusję, zezując ze swojego siedzenia. – Taki obraz wasz, zero pomysłu, może ta dziewczyna jest chora, może ją coś boli, może menstruację ma....

Uuuups, pada słowo z zakazanej listy, przedstawienie wskakuje na zupełnie nowy poziom.

– Wam tylko jedno w głowie – oburza się Baba z Torbami, zaciskając jedną rękę na żółtym drażku tak, jakby zaciskała ją na czyimś gardle.

– Tylko te... menstancje i depresancje – ciska Burchel na Nosie oburzony również. – A tu proszę, tu jest bohaterka, tak trzeba żyć, takie wartości nosić, jak te dzieciątka.

Autobus zatrzymuje się, hamuje lekko, wszystkich nas rwie do przodu, ale każdy ma to w dupie. Burchel na Nosie pokazuje na Matkę Kaszojadów, ale ta, speszona wyraźnie, zerka to na niego, to na równie speszoną bachornię.

I wyciąga asa z matczynej rękawa.

– Sorry, I don't understand.

O kurwa, o kurwa, o kurwa. Gdybym nie chciał zakłócać misternej konstrukcji tego przedstawienia, to jako żywo, zacząłbym klaskać, tupać, wiwatować.

To nie Matka Kaszojadów, waflokruchów, gówniaków.

To jest Mother of Shitlings.

I nagle zmienia się kierunek awantury, nowe tematy wyływają na powierzchnię, nowe palące kwestie.

– No tak – sapie Burchel na Nosie – wszędzie tylko ten element napływowy, zabierają pracę dobrym Polakom, bachory płodzą na potęgę za pieniądź polski. – Dzieciątka nagle zmieniają się w bachory, niesamowite!

– Ona taka sama pewnie, jak ta – ciska Baba z Torbami, patrząc to na Różową Czapkę, to na Mother of Shitlings. – Teraz grzebie się w tym wózku i udaje, że mnie nie słyszy.

– Proszę nie osądzać swoją miarą – włącza się drugi Samurajski Koczek. – Wy każdego, kto różni się choć odrobinę, chcielibyście zniszczyć i zamknąć.

– A ja do ciebie mówiłam? – jazgocze Baba z Torbami, a Samurajski Koczek 2 unosi się o parę centymetrów.

– Drze się pani na pół autobusu, to może i do mnie!

– O, patrzcie go, się znalazł. – Burchel na Nosie burczy jak oburzona kokosza. – Kiedyś tacy jak wy to do woja szli, i od razu z nich tam ludzi robili.

– Jeśli takich ludzi, jak pan, to ja podziękuję – odcina się Samurajski Koczek 1, reagując w obronie towarzysza.

– PATRZCIE ICH! – piszczy Baba z Torbami, zapominając o starej wrogini. – Pewnie się za rękę trzymają pod tymi kurtkami, jeden drugiemu w gaciach gmera.

I nagle autobus zalewa się gwarem głosów. Nikt nie zwraca uwagi na przystanki, na to, że czasem trzęsie albo zarzuci przy zakręcie. Ludzie tokują, drą się, ciskają kolejne słowa. Gęby czerwienieją, usta plują, żyły wychodzą na czole, jakby to miała być ich ostatnia chwila, jakby mieli wyjść z siebie na dobre i na zawsze. Za oknami jest szaro, w autobusie jest szaro, ale to zmyłka, to podstęp, to kamuflaż, bo przecież wszystko tu płonie emocją i oburzeniem, złością i kontrowersją, lada moment, a każdy każdemu będzie skakał do gardła, jedną ręką trzymając się grzecznie żółtej rurki oczywiście. Przystanki mijają, ludzie wsiadają nieśmiało, patrzą na ten kłęb, na ten węzeł gordyjski i rozsądnie wybierają inną część autobusu. Ale niezbyt daleką, taką całkiem bliską, by jednak słuchać awantury, ale w niej nie oberwać.

I wtedy do akcji postanawiam wejść ja.

Przecież to byłoby super paradne, gdybym tej Babie z Torbami zeżarł serce.

Podnoszę się od niechcienia, jakbym chciał wysiąść na najbliższym przystanku. Wtedy jeszcze cała ekipa mnie nie widzi, jeszcze tokują, jeszcze gardłują, jeszcze pęcznieją im żyły od zepsutej krwi. Idę przez autobus, łapiąc się żółtych rurek, aż wreszcie zatrzymuję się przed Babą z Torbami. Ona na początku mnie ignoruje, zajęta bluzganiem po młodych i z obcego kraju. Ale ja jestem cierpliwy. Ja stoję i patrzę się na nią.

Zauważa mnie dopiero, gdy autobus zalicza kolejny przystanek, a ja nadal tkwię w miejscu.

Wtedy podnosi na mnie wzrok, a ja mogę w pełni ocenić jej twarz. Nienajlepiej. Na skórze widać ślady palenia papierosów z przemytu w przeszłości, oczy ma wodniste, spod beretu wystają siwe, tłuste włosy, a usta ma zwiotczałe i wątłe. Bliżej niż dalej, myślę sobie.

– A ty czego tu? – rzuca do mnie półgębkiem, a ja widzę jej zęby: niektóre żółte, niektóre szerniałe, każdy daleki nawet nie od doskonałości, tylko od normy.

Nie odpowiadam. Wyciągam ku niej dłoń. Przybliżam palce do ortalionu kurtki ze szmateksu i zaczynam rysować zakłęte koła palcem. Żaden ortalion ciebie teraz przede mną nie obroni, myślę, patrząc prosto w postarzałe oczy.

Drzę na myśl o tym, co zaraz się wydarzy. Nieustannie mnie zadziwia to, ile misternej pracy wszechświat włożył w ludzkie ciała. Ile logiki i piękna wpakowane w coś, co prędzej czy później (prędzej), zgnije w ciemnej ziemi i nakarmi sobą robaki. Fascynowało mnie to, odkąd pierwszy raz zobaczyłem ludzkie wnętrza, odkąd pierwszy raz ktoś zdjął przy mnie zastonę ludzkiej skóry i odstąpił apetyczne wnętrze.

I lubiłem do tego wracać.

Dlatego teraz wbiłem mocniej palce w starcze piersi okryte ortalionową kurtką. Już za chwilę, jeszcze tylko odrobinę magii i to wydarzy się po raz kolejny. Znowu mnie porwie, znowu pochłonie, znowu...

Co kurwa?

Moja ręka nie czarnieje. Nie zmienia się tak, jak zawsze, gdy rozrywałem ludzkie ciała, nie traci ludzkich barw, nie zamienia się w ciemny szpon. Moje palce zatrzymują się na śliskim ortalionie podstarzałej kurtki. I ja nie czuję w głowie znajomych zawrotów, przemiana nie następuje, mój świat stoi w miejscu.

Co się dzieje?!

Za to w miejscu nie stoją ludzie z autobusu.

— RATUNKU, ZBOCZENIEC! — drze się Baba z Torbami i wtedy reaguje już całe rozgrzane awanturą towarzystwo. Burchel na Nosie podrywa się jak orzeł, Samurajskie Koczki (sztuk 2) skaczą do mnie jak jego najwierniejsze przydupasy i chwilę później łapią mnie we trzech za bary, a kilku randomowych chłopa przyskakuje do nich.

O chuj, ja chyba straciłem swoje moce.

Cześć! Dzięki piękne za chwilę poświęconą na lekturę mojego tekstu :) Kostian Kosiarz i Dareczek to bohaterowie historii, nad którą teraz pracuję. Mam nadzieję, że już wkrótce będę mogła zaprosić Cię do poznania całości <3

A jeśli już teraz czujesz, że potrzebujesz WINCYJ DECA, to leć do Empiku!

Znajdziesz tam moje dwie książki, wydane nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka, z którym współpracuję.

“Do Jasnej Anielki. Balkony i demony” to historia wiedźmy balkonowej i jej gadającego kota, którzy ratują świat przed demonem suszy. A “Krystyno, uspokój się” to historia emerytowanej południcy, która trafia do sanatorium dla upiórów i demonów. Polecają: sama Aneta Jadowska, Marta Kisiel i Katarzyna Berenika Miszczuk!

Trzymaj kciuki, żeby Kostian i Dareczek szybko dołączyli do nich na księgarskich półkach ;)

Sylwia Dec

www.sylwiadec.pl

IG: autorka_sylwia_dec

GOSIA W.

Puppenhaus

6 Grudnia 1885

Była pierwsza niedziela grudnia, gdy w moim progu stanął tajemniczy nieznajomy, zakutany w długi, wełniany płaszcz. Mężczyzna był najwyraźniej wycieńczony trudami podróży. Przedstawił się jako Reichenbach, notariusz z samego Wiednia, i miał do mnie „sprawę niecierpiącą zwłoki”, jak się sam wyraził. Wpuszczając go do środka z nieco niepewnym „Zapraszam” na ustach, nie wiedziałem jeszcze, jak ten nietypowy gość odmieni moje życie.

Po zapoznaniu się z dokumentami, nie mogłem niczego podważyć, niczemu zaprzeczyć. Kuzyn mojej babki, wuj Anzelm zostawił mi wypadku swoją posiadłość. I mimo iż nigdy wcześniej nie słyszałem ani o posiadłości, ani o wuju Anzelmie, testament przedstawiony przez Reichenbacha był jasny. Miałem przejąć na własność jego dwór położony w malowniczej górskiej dolinie, niedaleko wioski Karlingen.

Zaintrygowany zdawkowymi opisami dworu i osoby mojego dobroczyńcy, jak również nieco nerwowym pokąśtywaniem notariusza Reichenbacha, postanowiłem zamknąć mój niewielki zakładzik naprawy zegarów i ruszyć w stronę Karlingen. W duchu liczyłem na to, że prócz posiadłości, wuj Anzelm pozostawił mi w niej dość majątku, bym nie musiał już wypatrywać do nocy zmęczonych oczu nad skomplikowanymi mechanizmami. Nie miałem ani żony, ani rodziny. Może to była moja jedyna szansa?

Spakowałem torby i zamówiłem dorożkę.

8 Grudnia 1885

Gdy wyjechaliśmy z Karlingen w stronę posiadłości wuja Anzelma, dostrzegłem nerwowe drganie wąsów mojego dorożkarza. Poza mną, nie było innych pasażerów. Choć w samej wiosce leżał już puszysty, biały śnieg, odkąd wjechaliśmy do lasu, prowadzącego do dworu, drogi zamieniały się powoli w błotniste koleiny. Okolicę spowijała wilgotna, lepka szarość, wkradająca się pod płaszcz i oplatająca serca niepokojem.

Padła deszcz, a kare konie zaprzęgnięte do skrzypiącego rytmicznie powozu parskały ze spienionych nozdrzy. Woźnica dokończył różaniec, mrużąc ostatnią zdrowaškę, po czym sapnął gderliwie.

– Pan patrzy, to będzie tu. Stary Puppenhaus – dom lalek.

– Dom lalek? – zdziwiłem się.

– Ano... tak ludzie nazwali. Ale nie mówili dlaczego, a ja nie pytałem. Dawno już tam nikt nie był, to nie wiadomo. Ponoć jak Pański wuj zmarł, zajęło im miesiąc, nim ktoś zwłoki znalazł. Ludzie gadają, że-

Woźnica urwał, rozproszony przez czarnego ptaka, który z głośnym krakaniem zniżył lot, by skubnąć go w wystające spod ronda kapelusza ucho. Patrzyłem jak stróżka czerwonej krwi, pulsująca życiową energią, spływała po jego bladej szyi, wsiąkając w granatowy szalik.

– Cholerne paskudztwo. Jeszcze jakąś plagę rozniesie, tfu! – dorożkarz splunął pod nogi.

Mój towarzysz najwyraźniej zgubił wątek, a ja nie pomogłem mu go odnaleźć, gdyż moją uwagę przykuł dwór, wyłaniający się pomału na końcu głównej alei otoczonej dwoma rzędami rozłożystych dębów, wyciągających swoje splątane, bezlistne gałęzie ku szerokiej, ciemnej drodze, którą jechaliśmy. Ich natarczywe pokłony przywodziły na myśl ręce żebraków proszących o jałmużnę pod katedrą, a wiatr igrający między konarami niósł dalej ich smętne błagania.

Budynek był ogromny, ciemny i ponury. Z pewnością jeszcze z początków stulecia. Wysokie okna ze szprosami połyskiwały czernią, a zapuszczony bluszcz przejął władzę nad frontową, kamienną fasadą.

Gdy zajechaliśmy przed główne wejście – podwójne, ciężkie, drewniane drzwi ze stalowymi okuciami, niepasujące do reszty dworu, mój towarzysz przyjął zmięty pliczek banknotów i zawrócił konie, nie oglądając się za siebie.

Stałem sam, z jedną walizką i torbą prowiantu z Karlingen, spoglądając na dom lalek – posiadłość wuja Anzelma.

Wnętrze pełne było zasnutych płótnem zabytkowych mebli, skrzyń i książek o niepokojących tytułach. Traktowały one o okultyzmie, zapomnianych religiach i mrocznych rytuałach. Pośród zakurzonych regałów ciągnących się wzdłuż oblepionych pajęczynami ścian, znalazłem też tomy naukowe pełne technicznych rycin i wykresów.

Być może wuj, tak jak ja, lubił mechaniczne wynalazki?

Dom był ogromny, więc postanowiłem rozplanować zwiedzanie go na kolejne tygodnie. Niestety pora roku nie sprzyjała – światło dnia umykało mi, nim zdążyłem poczynić znaczące postępy w mojej misji. Choć prawdę powiedziawszy, nieustający deszcz i mgła zasnuwająca park otaczający dwór wuja, pokrzyżowałyby moje plany nawet w lipcu...

Postanowiłem urządzić się w niewielkim saloniku w pobliżu kuchni, bo to jedyne pomieszczenie, w którym kominek nadawał się od razu do użytku a lampy miały w sobie jeszcze trochę nafty. Zawinięty w grubą, wełnianą pled znalazłem w jednej ze skrzyń,

wpatrywałem się w nerwowy taniec płomieni w palenisku, czekając, by rozgrzały moje ścierpnięte dłonie. Deszcz dumnie bębnił o szyby wysokich okien, naśmiewając się z niepewnych uderzeń mojego nieco zatrwożonego serca.

Zanim zapadł zmrok, zdawało mi się, że to ja jestem odkrywcą, tym, kto zagląda w zakamarki. Jednak teraz, gdy nadeszła noc, ogarnęło mnie przeczucie, że to dom obserwował mnie. Podmuch wiatru poruszył ciężkimi zasłonami, a one wyciągnęły ku mnie swoje postrzępione brzegi. Ogień z kominka wychylał się, by zerknąć, przyjrzeć się bliżej, powęszyć.

Obracając w dłoniach okazały tom w złotej okładce, traktujący o tajemniczy wiecznego życia, zacząłem się zastanawiać, czym tak właściwie zajmował się mój wuj Anzelm, mieszkając tak daleko od jakiegokolwiek większego miasteczka.

15 Grudnia 1885

Po tygodniu odkrywania tajemnic mojego nowego domu, byłem już zupełnie przekonany, że nie znajdowałem się w nim sam. Przemierzając długie, ciemne korytarze, wspinając się po skrzypiących, dębowych schodach wijących się spiralą ku kolejnym kondygnacjom, czułem na sobie spojrzenie cudzych oczu. Nie wiedziałem tylko, czy podgląda mnie inny, trzymający się cieni lokator, czy też to sam Puppenhaus śledzi każdy mój ruch.

Wiezorami zdawało mi się, że słyszę kroki w pokojach na strychu. Nie mogłem ich jednak określić, przypasować do konkretnego stworzenia. Czasem stukały lekko, niczym stopy baleriny na deskach teatru, czasem sunęły ciężko pobrzękując niczym zbroja krzyżowca wracającego z krucjaty.

16 Grudnia 1885

Ciekawość popychała mnie coraz bardziej w głąb domu. Każdego dnia szedłem dalej, odkrywając kolejne zbiory ksiąg, narzędzi, eksperymentalnych mechanizmów. Zaczynałem powoli rozumieć, kim był wuj Anzelm i czym się zajmował.

Mój daleki krewny był wynalazcą. Konstruktorem.

Był też wyznawcą tajemnej sztuki zachowania życia, o której czytałem w pokrytym złotą oprawą tomie znalezionym w mojej sypialni. Z zapisków w notatniku Anzelma porzuconym w jednej z jego licznych pracowni, dowiedziałem się, że wielu światłych naukowców austriackich skrycie pracowało nad tajnikami przedłużania ludzkiego istnienia na tym świecie. Grupa wynalazców, matematyków i medyków studiowała zakazane księgi, cudem ocalone z pożogi ciemnych wieków, inkwizycji i reformacji, próbując zawrzeć esencję świadomości w nieśmiertelnej powłoce.

Notatki pisane rozedrganą dłonią na czarnej tablicy w pomieszczeniu na pierwszym piętrze pozwoliły mi wierzyć, że wuj Anzelm był już blisko tego celu.

A może nawet go osiągnął?

Instrukcje, części, raporty z prób i napraw... Ostatecznie sukces. Tak, kuzyn mojej babki stworzył nieśmiertelną otoczkę, gotową przyjąć esencję życia i nosić ją po wsze czasy, nie zważając na choroby, ból i niedostatek. Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć wyjaśnień czym owa esencja była.

Jako ktoś, kto spędził większość życia pracując przy naprawie mechanizmów, dzieło wuja wywołało we mnie niesamowite poruszenie. Czytając przy dogasającym blasku świec o kolejnych postępkach czułem, jak moje chłodne dłonie oblepia zimny pot a delikatne drgania wysłane przez podekscytowany umysł sphywają przez ramiona ku czubkom palców, niczym energia wyładowań elektrycznych.

Dzieło było olśniewające i...przeróżające.

23 grudnia 1885

Dziś po raz pierwszy wybrałem się na strych. Stąpając ostrożnie po nadgryzionych zębem czasu stopniach, słyszałem to wyraźnie: tap, tap, tap...

Kroki niewidzialnej, lekkiej niczym mgła istoty podążały wciąż za mną.

Gdy przystanąłem, ustały i one.

Ruszałem, ruszały ze mną.

Być może powinienem był zawrócić z obranej drogi, poniechać eksploracji dworu, wrócić do Karlingen, a potem do mego warsztatu. Znów zamknąć się w znajomych ścianach pracowni, wpatrywać się w tarcze zegarów bogatych mieszczan i liczyć na to, że córka piekarza kiedyś w końcu spojrzy na mnie przychylnym wzrokiem. Być może tak byłoby rozsądniej.

Jednak od kilku dni wiedziałem już, że nie było dla mnie odwrotu. Studiując zapiski wuja i tomy znalezione w jego bibliotece, zrozumiałem do czego dążył. Połączenie życia i mechanizmu – konstrukt i dusza. Prawdziwa harmonia. W średniowieczu uznano by to za herezję. Jednak, czy jeśli Bóg stworzył nas na swoje podobieństwo, to nie powinniśmy, jak i on, dążyć do tworzenia i do zachowania życia naszych tworów na wieki?

Wiedziony nieodpartą pokusą, ciekawością graniczącą z obsesją, stanąłem przed niewielkimi drzwiami z odrapaną, granatową farbą, na których ktoś zawiesił tabliczkę z napisem nowożeńcy. W wyrazie brakowało jednej litery a kształty pozostałych były niepewne, jakby osoba je pisząca uczyła się ich po raz pierwszy.

Poza drzwiami przede mną, korytarz wydawał się pusty, a jednak moją skórę przesywały igiełki przecucia, iż byłem obserwowany. Uwierzony i jednocześnie wolny. Przez kilka uderzeń serca, gęsta cisza posiadłości powstrzymywała mnie przed zrobieniem kolejnego kroku.

Wyciągając dłoń przed siebie, poczułem potrzebę, by najpierw zapukać.

Zduśłem ją w sobie, wymyślając słabościom własnego umysłu.

Nawet jeśli nie byłem tu sam, ten dom należał do mnie.

Był mój.

A z nim wszystko, co się w nim znajdowało.

Chłodne żelazo staroświeckiej klamki ustąpiło ze zgrzytem i moim oczom ukazało się pomieszczenie o niskim stropie, spowite w półmroku.

Wszedłem do środka.

Zamaszystym szarpnięciem odstoniłem czarne zasłony opuszczone na wykuszonych oknach. Do wnętrza wlał się stalowoszary zmierzch, a płomień trzymanej przeze mnie lampy drgnął niepewnie, jakby i on nie wiedział co tu zastanie.

Rozejrzałem się, mrużąc podrażnione drobinkami kurzu oczy.

Ściany pokoju pomalowane były na fiołkowo, a staromodne meble – łóżko i toaletka – na biało. Nie było tu ani wielu regałów z książkami, ani też niekończących się stosów części, śrubek, sprężyn i drucików. Wszystko co mogłoby wskazywać na związek z pasją wuja, znajdowało się na jednym, niedużym blacie roboczym pod ścianą. Pozostała część pokoju musiała być czyjąś sypialnią.

Nagle poczułem delikatny powiew powietrza, a drobne włoski na skórze mojego karku stanęły na baczność.

Tap, tap, tap za moimi plecami.

Zgrzyt.

Zatrzaśnięte drzwi.

Nie odwracałem się. Czuję, jak szum mojego pulsu dudni mi w uszach a serce wali niczym młot kowalski, próbując wydostać się z piersi i uciec, uciec przed siebie, byle dalej stąd.

– Aleś ty piękny – lekki, nieco metaliczny głos przepełnął od mojego lewego ucha do prawego.

Blisko. Zbyt blisko.

Zamarłem.

– Wiedziałaś, że Anzelm kłamał, gdy mówił, że jest najpiękniejszym przedstawicielem swojego gatunku. Ale nie obchodziło mnie to, bo nie kłamał, gdy mówił, że był najlepszym – mruczał głos, tonem kotki obracającej w swych pazurkach tłustą mysz.

– Ale... ale czemu ty nie mówisz? Może to umiał tylko on?

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Obróciłem się.

Przede mną stała ona – wysoka, smukła kobieta o połyskującej złotem skórze i ognistych, gładkich włosach.

Kobieta? Skórze?

Nie mogła być człowiekiem. Była konstruktem, maszyną.

Jednak nie mogłem dostrzec co napędzało jej ruchy – nie było mechanizmu, kluczyka, silnika, przewodów... A mimo wszystko poruszała się z cudowną lekkością. Mówiła, uśmiechała się, wyciągała do mnie swoją mechaniczną dłoń.

– N–nie...– wydusiłem w końcu, czując jak powietrze ledwo przepycha się przez zaciśnięte gardło.

Postąpiłem o krok do tyłu.

Opuszczając wzrok, zdałem sobie sprawę, że moje kolana drżały z taką siłą, że nieznajoma mogłaby mnie wziąć za epileptyka.

– Jestem Althea, a ty? – mechaniczne oczy nieznajomej wypełnił nowy, drapieżny błysk.

– Jestem Johan, naprawiam zegary.

Nie rozumiałem, dlaczego wspomniałem o mojej profesji. Być może czułem, że w takiej chwili imię to za mało, a może chciałem Althei zaimponować? Nie mogłem wtedy wiedzieć, jak dalej potoczy się ta znajomość.

Najwyraźniej moja odpowiedź przypadła jej do gustu, bo w oczach kobiety pojawiły się podekscytowane iskierki a nutka groźby w jej głosie nieco zelżała.

– Naprawiasz? Mechanizmy?

– Tak, proszę pa...

– Altheo.

– Tak Altheo.

Cała pewność siebie, która towarzyszyła mi przy wspinaczce po schodach na strych, opuściła mnie w jednej chwili. Nie czułem się już panem tego domu. Nie był tylko mój. Należał też do Althei. A może tylko do niej?

30 grudnia 1885

Althea pokazała mi różne elementy swojej konstrukcji. Jest fascynująca! Jednak wciąż nie wiedziałem co sprawia, że moja towarzyszka żyje. Pewnego wieczoru zeszliśmy razem na dół, posiedzieć przy kominku. Zadziwiające, jak bardzo jest ludzka, prawdziwa. Jadłem pieczeń, bo zgodnie z przewidywaniem Althei, co trzy tygodnie pojawiał się pod dworem wóz z Karlingen. Woźnica zostawiał nowe zapasy na schodach a wybierał pieniądze z niszy w ścianie domu, tuż pod ramą jednego z okien.

– Anzelm wszystko zautomatyzował – śmiała się, a jej srebrne, połyskujące zęby odbijały blask płomieni z kominka. – Mówił, że pieniędzy wystarczy na długo. Bardzo długo.

Rozmawialiśmy do późnej nocy, o Anzelmie, o dworze, o życiu... Jednak gdy Althea zorientowała się, że przecież, w przeciwieństwie do niej, moje ciało wymaga snu, powiedziała, że chętnie pozostanie przy mnie, gdy udam się na spoczynek i dopilnuje ognia w kominku, bym nie zmarł.

Nie mogła wiedzieć, jak odczuwamy zimno, a jednak o tym pomyślała.

31 grudnia 1885

Althea to cudowna istota – ciekawa i inteligentna. W przeciwieństwie do kobiet z mojego miasteczka, nie obchodziły ją przyziemne sprawy. Lubiła rozmawiać o pomysłach, tworzeniu, radości z odkrywania nowych dróg, nowych rozwiązań.

Opowiadała mi też o wuju Anzelmie, ale z dnia na dzień, coraz mniej odpowiadała mi ta część naszych konwersacji. Althea wielbiła Anzelma, był jej wielką miłością, bratnią duszą. Raz nawet obraziła się na mnie, gdy zasugerowałem, że jej uczucie wykiełkowało z powinności wobec jej stwórcy.

Poczucie winy zacisnęło się wokół mojej piersi, gdy jej metaliczne oczy przygały a wycięte w płacie twarzy usta wykrzywiły się w nieszczęśliwym grymasie.

– Ja nie jestem wymysłem Anzelma – fuknęła zaciskając złotą piąstkę. – On dał mi to życie, ale nie wymyślił tego kim jestem. Ja...ja zawsze byłam Altheą. Chociaż...– zawahała się spuszczać wzrok. – Chociaż nie zawsze wszystko pamiętam.

Wtedy nie rozumiałem jeszcze, jak niewiele o niej wiedziałem.

Na szczęście złość Althei nie trwała długo i znów rozmawialiśmy o mechanizmach, narzędziach. Altheę interesowała moja praca. Czasem przynosiła mi popsute wynalazki Anzelma do naprawienia. Mechanicznego pieska, zegar wygrywający różne melodie...

Gdy pewnego wieczoru zapytałem, czy na jej życzenie będę musiał naprawić każdy drobiazg w posiadłości, zakryła usta dłonią, skrywając przepaszający uśmiech.

Jednak przez jej oczy przemknęło nowe uczucie. Strach?

– Nie – powiedziała. – Nie wszystkie. Teraz już wiem co potrafisz, więc poproszę cię tylko o te, które coś znaczą.

6 stycznia 1886

Cudowna Althea zawładnęła każdą minutą mojego życia. Ona nie potrzebowała spać, a ja... ja byłem gotów oddać jej wszystko co miałem. Mogłem położyć się na zapadniętej sofie na godzinę, ale potem czekała mnie praca.

Ciągle praca.

Moja towarzyszka zdradziła mi, że z moim talentem naprawianie zegarów to była dziecinna igraszka. Widziała we mnie umiejętności dorównujące tym posiadanym przez wuja Anzelma. A może jeszcze znakomitsze?

Althea roztoczyła przede mną wizję świetności, dokonań i odkryć, o których przed przyjazdem do posiadłości nie mógłbym nawet zamarzyć. Świetlana wizja rozjaśniała ponurość zamglonej okolicy, ciemność zimnych nocy i pustkę w moim sercu, która od lat drążyła moje wnętrze, popychając ku myślom o końcu.

Teraz moje życie miało cel.

Studiowałem przedstawione mi przez Altheę rysunki i naprawiałem drobne mechanizmy, łącząc części, o których przeznaczeniu nie miałem pojęcia. Nie przeszkadzało mi to jednak, bo wiedziałem, że ona nad wszystkim czuwała, gromadząc potrzebne sprzęty z różnych zakamarków domu.

Czułem, jak dni i noce zlewały się w jeden strumień rytmicznych pulsów – długich na przemian z krótkimi. Praca i odpoczynek. Althea i sen. Jednak niebawem już tylko ona, już tylko kolejny mechanizm, kolejna część.

Z oczu Althei zniknęły przyjazne iskierki, zastąpione chłodną determinacją, której nie złamałaby nawet śnieżna lawina.

10 stycznia 1886

Od rana Althea wydawała się bardziej podekscytowana niż kiedykolwiek. Zarzuciła mnie mnóstwem zadań, trudniejszych niż zwykle. Używając zupełnie nieznanymi mi narzędzi, składałem coś, co zaczynało w końcu nabierać niepokojących kształtów. Moje wykończone ciągłą pracą przy drobnych elementach oczy sprawiały, że rzeczywistość rozmywała się przede mną niczym krajobraz obserwowany przez strugi deszczu. Wieczorem zorientowałem się, że po policzkach spływają mi łzy.

Zmęczenie. Praca. Althea.

11 stycznia 1886

Gdy tylko otworzyłem oczy, silne, metalowe dłonie Althei chwyciły mnie za ramię. Poczułem, jak jej sztywne, połyskujące palce zaciskają się wokół mojego ciała z nieludzką siłą.

Nie wiedziałem, czy była noc, czy też dzień. Było ciemno.

– Idziemy, już czas – powiedziała, wpatrując się w bryłę krętych schodów, wijących się ku górze niczym ciało jadowitego węża.

– Dokąd, Altheo? – wychrypiąłem, nie wiedząc, czy po całym tym wysiłku będę jeszcze w stanie wdrapać się po jakichkolwiek stopniach.

Przez długą niczym ostatni oddech umierającego chwilę, Althea przesywała mnie wzrokiem na wskroś. Czułem gorączkę jej uniesienia w każdym calu mojego ciała. Drżała.

– Na strych – syknęła, a jej oczy zapłonęły szaleńczym blaskiem.

Powłócząc nogami, wspinałem się wciąż wyżej, ponaglany szturchnięciami i niecierpliwym powarkiwaniem mojej towarzyszkii.

Althea zabrała mnie na poddasze, do pokoju, o istnieniu którego nie miałem wcześniej pojęcia. Panował w nim przejmujący chłód i półmrok, rozświetlony jedynie blaskiem sześcioramiennego świecznika stojącego na pustym, hebanowym stole.

Gdy weszliśmy do środka, deski podłogi zajęczały pod ciężarem Althei.

– Spisałeś się – powiedziała, a ja westchnąłem głęboko, spragniony jej pochwałą, których odmawiała mi od kiedy zacząłem naprawiać bardziej skomplikowane konstrukty wuja Anzelma.

Althea ujęła moją rękę.

Tym razem była delikatna, troskliwa wręcz.

Poprowadziła mnie w stronę skrzyni znajdującej się pod ścianą, niedaleko stołu.

Zamrugąłem nerwowo, gdy z pokrytego blachą dachu za oknem zerwało się stado kruków, trzepocząc skrzydłami i kracząc przeraźliwie. Zapewne chciały się ukryć przed nadciągającą śnieżycą, którą zapowiadały ciężkie, granatowe chmury zaciemniające horyzont.

– Naprawiłeś wszystko, czego sama nie umiałabym przywrócić do stanu świetności – powiedziała Althea szukając czegoś w małym, otwieranym schowku w jej udzie.

– Gdy spałeś, złożyłam go znów w całość i teraz jest już gotów. Na reszcie. Teraz i na wieczność.

– Co jest gotowe, Altheo? – ośmielony przyptywem jej życzliwości odważyłem się spytać.

Nie odpowiedziała.

Spojrzała tylko na mnie, obracając w palcach misternie zdobiony, złoty klucz.

Gdzieś na dole zegar wybił dwanaście uderzeń posępnym tonem przypominającym dzwon z kościelnej wieży w moim rodzinnym mieście. Spojrzałem w stronę niewielkiego wykuszu na przeciwległej ścianie. Pierwsze płatki śniegu przyłgnęły do szyby, a wiatr targał konarami dębów przy głównej alei.

Althea pochyliła się i włożyła klucz do zamka masywnego, hiszpańskiego kufra, przy którym staliśmy oboje. Nie zważając na ciężar wieka, Althea otworzyła skrzynię i wyciągnęła z niej coś, co wycisnęło dech z mojej piersi, niczym cios pięścią w mostek.

Drugi konstrukt. Mężczyzna.

Jednak ten wynalazek, w przeciwieństwie do Althei, nie był żywy. Nie poruszał się, nie mówił, a jego martwe, pozbawione wyrazu oczy pozostawały skierowane w jeden punkt.

Althea wpatrywała się w niego z mieszaniną smutku, gniewu i rozczarowania. Jej brwi to ściągały się, to opadały ciężko, przytłaczając metalowe powieki.

– Twój wuj i ja planowaliśmy życie razem – odezwała się, wciąż na mnie nie patrząc. – To była jego obietnica. Dlatego się zgodziłam, by... Dlatego dawna Althea pozwoliła Anzelmowi zrobić to, co zrobił, by zachować ją przy sobie na zawsze.

– Czy to... Czy to jest... Czy to wuj Anzelm? – spytałem, nieświadomie wciskając się w ścianę za moimi plecami.

– To miał być Anzelm! – krzyk Althei przypominał odgłos ciętego metalu. – Ale on umarł! Zanim zdążył przelać swoją esencję, znalazłam go martwego na schodach, po których tu weszliśmy. Gdyby był tylko chory, gdyby...

Altheą wstrząsnęły dreszcze złości a w jej oczach żarzyły się węgle szaleństwa.

– Co się dokładnie wydarzyło? – mój głos był ledwie szeptem.

– Jeszcze nie pojmujesz? Żeby ożywić konstrukt, potrzebna jest przecież siła, która go napędzi – esencja życia...

Spoglądałem na Altheę, starając się ze wszystkich sił zrozumieć.

– Serce, Johanie, ludzkie serce – powiedziała otwierając niewielkie drzwiczki w swojej klatce piersiowej.

We wnętrzu Althei biło prawdziwe serce oplecione siecią złotych drucików, połączonych z resztą jej ciała. Wiedziałem, że konstrukt musiał zawierać ludzki pierwiastek. Tego się jednak nie spodziewałem. Pociemniało mi w oczach a żołądek skręcał się w konwulsjach, przyprawiających mnie o mdłości. Nie wytrzymałem i zwymiotowałem na podłogę.

Althea zignorowała moje słabości, wpatrując się teraz w mechanicznego mężczyznę.

– Gdyby to była tylko choroba, lub gdyby umarł zaledwie chwilę wcześniej na inną ludzką przypadłość... Czy wiesz, jak zginął, Johanie?

– Nie – przyznałem, ocierając twarz brzegiem rękawa.

– Anzelm miał zawał – sapnęła, powstrzymując gniew i rozpacz zarazem. – Pękło mu serce, a razem z nim straciłam moje.

W końcu zrozumiałem. Althea miała w sobie serce prawdziwej kobiety. Anzelm przysiągł jej, że przeleje własne do drugiego wynalazku. Jednak nie zdążył, a ona została sama. Na zawsze.

Na wieczność.

Wraz z rozwiązaniem tajemnicy spłynęła na mnie inna myśl, skupiona na chwili obecnej. Skoro Anzelm już dawno nie żył, a Althea szalała z samotności, tylko jeden cel mógł jej przyświecać, gdy postanowiła mnie tu zatrzymać i pokazać mi wynalazek wuja.

Na zewnątrz rozpętała się burza śnieżna, która mogła zasypać drogę na długie tygodnie. Nikt się tu nie dostanie, a ja nie miałem konia ani dość zapasów. W domu nie czekał na mnie nikt. Tutaj witała mnie nieśmiertelność.

Usłyszałem znajomy, metaliczny odgłos i w blasku świec mignęło ostrze sztyletu.

– Twoje serce, Johanie – zażądała.

– Tak, Altheo.

OLGA STIEFEL-BRZEZIŃSKA

Studnia

– Stefan, ja już mam dość! Tyle razy mówiłam „Naświniłeś? Posprzątaj po sobie!”, a ty co? Okruszki ze stołu na podłogę! Naniesiona ziemia nogą pod fotel! A ja tylko całymi dniami latam ze ścierką i miotłą i po tobie sprzątam. Stefan, ja oficjalnie mówię, że ma dość! Wypisuję się z tej bajki bez hepi endu!

– Ależ duszko...

– Nie duszkuj mi tutaj! – Karolina przełożyła pierwszą nogę nad cembrowiną starej studni i wymacała zamontowaną od środka drabinkę. – Prosiłam wiele razy?

– Nooo... – Stefan stał jak wmurowany. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co ma powiedzieć czy zrobić.

– Groziłam? Błagałam? A ty co? – wściekła kobieta wbiła wzrok w męża.

– Noo... Ja... – wyjąkał brodaczy w średnim wieku, ubrany w grafitowy garnitur i białą koszulę z krawatem.

– Noo... ty... – żona zaczęła go przedrzeźniać – No ty miałeś to w głębokim poważaniu, bo przecież zawsze w magiczny sposób bałagan znikał. To teraz ja też zniknę. Cześć! – rzuciła kobieta, odgarnęła z oczu czarne loki i, cały czas ściskając w prawej ręce starą miotłę, zniknęła wewnątrz starej kamiennej studni.

Stefan w końcu się ocknął i ruszył w kierunku, gdzie zniknęła jego żona. Oparł się na kamiennym obramowaniu i, wołając cały czas jej imię, usiłował wypatrzeć Karolinę albo chociaż usłyszeć, kiedy jej ciało zderzy się z taflą wody. Aktówka z najnowszym modelem Macbooka leżała porzucona w trawie. Stefan, stykając się z gruntem tylko czubkami palców lewej stopy, przechylał się w głąb studni i próbował oświetlić wewnątrz latarką najnowszego modelu iphone'a. Na próżno.

– Na próżno pan tu świecisz i ryzykujesz – usłyszał za plecami męski głos i poczuł, jak czyjeś ręce chwytają go w pasie i pomagają stanąć pewnie na ziemi.

– Ale moja żona... – Stefan wciąż nie odwracał twarzy od ciemnego tunelu, do którego przed chwilą wkroczyła Karolina.

– Nosz kurczaki, następny – usłyszał drugi męski głos – Ziutek, który to już będzie? Piętnasty?

– Nieee, zapomniałeś o Nowaku i Krzeszewskim. Ten będzie osiemnasty – odpowiedział tajemniczy Ziutek.

– Który co? Osiemnasty jaki? – Stefan odwrócił się w stronę tajemniczych głosów.

– Osiemnasty, któremu żona do studni uciekła – odpowiedział niski mężczyzna w roboczym kombinezonie. – Moja była pierwsza, a Ziutka – tu wskazał palcem na podstarzałego rolnika, który dopiero co puścił Stefana – była druga.

– I co się z nimi stało?

– Nie wiemy – odparł Kazik. – Moja zrobiła mi tutaj kolejną awanturę, że słucham się mamusi i wskoczyła do środka. Prawie tam za nią wleciałem, gdyby Kazik – skinął głową w kierunku kompana – mnie nie złapał.

– Tak się zgadaliśmy, że Kazika to samo spotkało, tylko żona o samochody i wyścigi pretensje do niego miała – ciągnął Ziutek, a Kazik potakująco kiwał głową jak chińskie piesek–zabawka. – Zaczęliśmy dyżurować, bo mieliśmy nadzieję, że te nasze to tylko tak się schowały i w końcu wyjdą.

– Ale nic z tego – opowieść przejął Kazik – nasze nie wychodziły, za to w środku znikały kolejne. To żeśmy się zaczęli zbierać razem i taki klub wsparcia mamy. Dołącz, pomożemy ci sprzątać, a ty nam pomożesz.

– Ale zaczniemy od obiadu – wyszczerzył zęby Ziutek. – Kowalskiemu żona robiła aferę, że on niby zawodowy kucharz, a w domu przy garach palcem nie kiwnie. To teraz na nas trenuje domowe jedzenie.

Ziutek pociągnął za sobą Stefana. Kazik znalazł na ziemi jego aktówkę i ruszył śladem pozostałych mężczyzn.

[tymczasem w studni]

Karolina wiedziała, że ma chwilę, zanim Stefan zbliży się do studni, ale i tak błyskawicznie pokonała drabinkę w dół i zniknęła w tunelu. Chwilę musiała iść na czworaka, potem już wyprostowana, żeby po kilkunastu minutach wejść do kamiennej komnaty.

To, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach. Siedemnaście znajdujących się wewnątrz kobiet oddawało się przeróżnym rozrywkom. Jedna drzemała na fotelu. Dwie kolejne oglądały serial, robiąc jednocześnie na drutach. Inne czytały, plotkowały przy winie, czy pływały w basenie położonym w najdalszym rogu pomieszczenia. Jednak nie to wzbudziło w Karolinie euforię – w komnacie było czysto. Jej miotła nie była już potrzebna! Trzask upadającego narzędzia przykuł uwagę kobiet.

– Karolina! Jesteś! – jedna z robótkujących rzuciła się w jej kierunku – Wygrałam zakład!

- Ana kogo jeszcze stawiałyście? – rozbawiona Karolina przywitała się z przyjaciółką.
- Na Agatkę, że ją Tomasz tym swoim gędzeniem zmęczy. Ale chodź, rozgość się i w końcu spokojnie sobie odpocznij.

KASIA KLEIN

Lustereczko

Autobus ślimaczył się w korku. Podjeżdżał kawałek i zatrzymywał gwałtownie. Dianą szarpało w przód i w tył. Rozpięta puchową kurtkę, poluzowała szalik. Wełniane włókna gryzły jej szyję pokrytą cienką warstwą potu. Kobieta stojąca obok ciekawsko zerkąła w ekran jej telefonu.

Diana przesunęła się lekko, na tyle na ile było to możliwe w tym ścisku, aby zastonić wyświetlacz. Szybko przeklikąła się do statystyk Tik Toka.

Zobaczmy – pomyślała – kto jest najpopularniejszy w Internecie.

Przeskakiwała między danymi ze swoich ostatnich rolek. Zdecydowanie trend był malejący – i wyświetleń, polubień i komentarzy. Zdecydowanie algorytm nie polubił jej kontentu z ostatniego miesiąca. To były te treści, w których grała na ukulele i śpiewała swoje własne piosenki. Szorowała na dnię popularności, a przecież do tej pory miała po kilkanaście tysięcy wyświetleń. Jej lip–sync i story time przy makijażu, jakieś randomowe wyzwania wyciągnęły jej profil na szczyt popularności, wśród innych dziewczyn w szkole. Kilka szybkich ruchów i już była na profilu Leny. Pod jej ostatnim filmikiem było więcej komentarzy niż przy wszystkich filmach Diany z tego tygodnia.

– Nie warto – usłyszała głos kobiety stojącej obok. Jej oczy były niepokojące. Przecudny błękit zdawał się prześwieć Dianę na wskroś, ale to pewnie złudzenie od świetlistych cieni na powiekach. Spomiędzy siwych, spływających do pasa gęstych, siwych włosów wystawały kolorowe ptasie pióra. Przez chwilę Diana odruchowo chciała ich dotknąć.

To było do mnie? – pomyślała.

Kierowca znów ostro zahamował. Telefon wypadł Dianie z rąk i przejechał kilka centymetrów po podłodze pojazdu. Diana zamarła.

Żeby tylko nikt na niego nie nadepnął!

Kierowca gwałtownie ruszył i znów zahamował wyrzucając z siebie przekleństwa. Diana próbowała podnieść ślizgający się po podłodze telefon.

– Nie warto – Diana ponownie usłyszała nad głową ciepły głos. Znów zastanawiała się, czy to do niej, czy może do kierowcy.

Czyjś długi szalik zasłonił jej twarz, pod żebrami poczuła czyjąś siatkę, ktoś napierał na nią od tyłu. Odsunęła szalik, z trudem odpychając się od obcych ciał, wyprostowała się. Telefonu nie było. Tym razem zimny pot wsiąkał w wełniane włókna na jej karku. Zgubiła telefon! Tylko nie to!

– Przepraszam, przepraszam – wołała próbując precyzyjnie się przez tłum. Pasażerowie mierzyli ją zmęczonymi i podirytowanymi spojrzeniami.

Nagle poczuła czyjś dotyk na ramieniu. Odwróciła się. To była ta kobieta o błękitnych oczach.

– Proszę – w dłoni trzymała telefon Diany – Choć nadal uważam, że nie warto.

Wariatka. Pomyślała Diana, ale odpowiedziała tylko:

– Dziękuję.

Kierowca autobusu mocno skręcił w prawo wjeżdżając w zatoczkę. Diana miała już dosyć. Była zła. Było jej gorąco i duszno. Wełniany szalik gryzł jej spoconą szyję. Niewiele myśląc przepchała się do drzwi i wysiadła. Trudno, przejdzie te 2 przystanki. Przynajmniej odetchnie świeżym powietrzem.

Na chodniku lśniły kałuże. Sznurówki z trampek Diany nurkowały w każdej z nich, a potem wyskakiwały objając się o nogawki jeansów i zostawiając brudne smugi. Diana nie zwracała na to uwagi. O wiele gorszy był czarny wyświetlacz telefonu. Nie mogła go włączyć. Miała nadzieję, że to tylko rozładowana bateria, że telefon nie zepsuł się od upadku. Gdy przechodziła obok miejskiego lasku, wydawało jej się, że między drzewami mignęły kolorowe pióra. Wzdrygnęła się i znów spojrzała w telefon. Stała jak wryta. Na ekranie przez sekundę mignęło jej "Nie warto". Rozejrzała się wokół, znów zerknęła na telefon. Ekran był ciemny.

Jestem po prostu zmęczona – pomyślała i zdecydowała, że pójdzie skrótem. Skręciła w stronę lasku.

Już po paru minutach żałowała tej decyzji. Wśród drzew było ciemniej niż się tego spodziewała i nie była pewna, czy skręciła w dobrą ścieżkę. Nie widziała już za sobą oświetlonej drogi, więc nie chciała zawrócić i nadal szła przed siebie. Przeszła jeszcze kilka kroków i nagle znalazła się na polanie otoczonej lasem. Na jej środku stał... kamper, a tuż przed nim siedziała kobieta z autobusu.

– Nadal myślisz, że warto? – Spytała, a spod pasm jej włosów wysunęło się jeszcze więcej kolorowych piór.

– Eee, przepraszam, chyba się zgubiłam – bąknęła Diana.

– Tak. Już w autobusie zdawałaś się być zagubiona. A pewnie trwa to dłużej – Kobieta wstała i otworzyła drzwi kampera. – Chodź, dam ci latarkę, szybciej wyjdiesz z lasu.

Diana zawahała się. Kobieta ewidentnie nie była poczytalna. Z drugiej strony

rzeczywiście potrzebowała pomocy, aby wydostać się na drogę. Z trzeciej strony nie miała działającego telefonu, więc w razie czego nie miałyby jak wezwać pomocy. Z czwartej strony już jest "w razie czego", bo nie wie, jak trafić do domu. A musiała ostro zboczyć z trasy, bo nigdy nie widziała ani tej polany ani kampera. Poza tym, musiała jak najszybciej naładować telefon. Telefon... może z tej historii będzie dobry temat na story time?

Weszła za kobietą. Kamper w środku wydawał się być o wiele większy i bardziej przestronny, niż sugerował jego zewnętrzny wygląd. Jego wnętrze było przytulne i ciepłe, wypełnione miękkimi kanapami i poduszkami, kolorowe od tapet, makat i dywanów, ożywione pnącymi się po ścianach roślinami oraz girlandami migoczących lampek. U jego dachu zwisały niczym bukiety suszonych ziół... ładowarki.

– O, czy mogłabym... – spytała z nadzieją Diana, ale po chwili zauważyła, że ładowarki mają pouncinane kable.

– Nie, nie – kobieta nawet nie spojrzała w stronę Diany, wyciągając latarkę z szuflady – one odbierały energię. I twórczą, kreatywną moc.

No wariatka, jak nic. Zaraz mnie zeżre jak Baba Jaga. – pomyślała Diana, a kobieta zaśmiała się, jakby słyszała jej myśli.

– Proszę – wysunęła przedziwną latarkę, bo w kształcie kryształu, w stronę dziewczyny – jej światło wskaże ci drogę. To, co w tym lustreczku – wskazała na nieczynny telefon Diany – odbija się sztucznym blaskiem. Prawdziwe kolory, prawdziwe światło mają moc wtedy, gdy używasz ich w zgodzie ze sobą, z potrzeby serca. Nie algorytmu. Tam jest tylko świat odbity, pozorny. O jego uwagę walczyć nie warto. Prawdziwą wartość ma to, co jest szczerze, nie popularne.

Wariatka, wariatka, muszę stąd iść.

– Idź. A jeśli będziesz uważna, to znajdziesz pióro, które pomoże ci opowiedzieć prawdę.

– Tak, tak – odpowiedziała spanikowana Diana i wyrwała latarkę z rąk kobiety – Dziękuję, do widzenia.

Wystrzeliła z kampera jak z procy. Latarka dawała mocne światło. Dzięki ściankom rozświetlała nie tylko to co przed, ale i w okół. Diana widziała ścieżkę i ścianę drzew po bokach. Gdy obróciła się polany i kampera już nie było. Zwolniła kroku i myślała o słowach kobiety. Czy rzeczywiście polubienia, komentarze i wyświetlenia były warte tego, by spalać się dla nich? Nie znosiła nagrywać tych wszystkich rolek, być odtwórczynią trendów, virali i wyzwania. Chciała tworzyć, choćby jej piosenek miała słuchać garstka osób. Nagle usłyszała odgłos silnika. Tuż przed nią rozciągała się droga do jej osiedla. Dotarła. Coś mignęło jej przy drodze. Schyliła się i podniosła białe piórko.

Wieczorem napisała o nim piosenkę. Tekst idealnie pasował do melodii, którą skomponowała kilka dni wcześniej. Sięgnęła po telefon, który ładował się od kilku godzin. Znowu działał. Diana nagrała swój nowy utwór i wrzuciła go na Tik Toka. Mignęło powiadomienie z Messengera. Od Leny:

- Znowu ci zasięgi spadną xd wrzuc jakiegoś haula.
- Nie warto – opisała Diana i wyłączyła telefon.

W kamperze, stojącym pośrodku polany, kobieta rozczesywała przed lustrem swoje długie, siwe włosy. Spomiędzy pasm wyłoniło się nowe fioletowe pióro.

Fiolet to ulubiony kolor Diany.

KASIA KLEIN

Stan zdumienia

Stan zdumienia trwał całe 45 minut i nie napisałam ani jednego słowa. Widziałam pochylone głowy nad kartkami, słyszałam szelest stalówek sunących po arkuszach. Czułam ten pośpiech kolejnych literek, które chciały, jedna po drugiej, zsunąć się ze zjeżdżalni rozciągniętej między mózgami a koniuszkami palców, zeskoczyć w idealne miejsce na stronie i rozlać się sensem.

Kiedyś czytałam, że przebywanie w jednym pomieszczeniu z ludźmi, którzy wystukują słowa na klawiaturze, sprawia, że samemu chce się pisać. Nie wiem, jak to ma się do pisania ręcznego, ale klimat mi się w ogóle nie udzielił.

“I’m not a girl, not yet a woman. Rozważ sens słów Britney Spears w oparciu o wybrane teksty kultury”. Patrzyłam się tępym wzrokiem na tytuł zadanego eseju i zastanawiałam się, czy ja naprawdę chcę studiować polonistykę? Uczyć się o stopach metrycznych, wersach sylabicznych, gramatyce opisowej, normie językowej? Dorabiać za barem albo pisząc prele po 50 gr za 1000 znaków bez spacji, i zżymać się na każde “aaa, to nauczycielką będziesz?”. Co więcej, czy ja w ogóle chcę studiować?

Zadawałam sama sobie te pytania, dziwiąc się coraz bardziej z każdym kolejnym. W 50 minucie zdałam sobie sprawę, że nic z tego nie będzie – i z egzaminów i ze studiów.

Wstałam. Złożyłam na pół arkusz A4 z tylko wpisanym nazwiskiem ruszyłam w stronę komisji. Po sali przeszedł szmer. Przyszłe polonistki i poloniści nerwowo kręcili się na siedziskach zdumieni, że ktoś skończył. Nie ukrywam – fajnie było iść salą między nimi z uśmiechem na twarzy, grając w grę: “jestem taka mądra i utalentowana, że wystarczy mi niecałe 50 minut, aby dowieść swoich racji w oparciu o wybrane teksty kultury”.

Gdy oddawałam kartkę, szanowna komisja popatrzyła po sobie z niezrozumieniem, zbита z tropu tym bardziej, że wręcz krzyknęłam ze zbytnią egzaltacją:

– Szalenie dziękuję za tę szansę!

Jeden z profesorów wziął moją nie–pracę i uniósł lekko nad tapet tuż na wysokość okna, jakby sprawdzał, czy nie pisałam przypadkiem niewidzialnym atramentem.

Zamknęłam za sobą ciężkie drzwi. Rzuciłam się biegiem przed siebie długim, wąskim korytarzem bez okien, jakby coś goniło mnie jak dzikie, ale to gnała dzikość we mnie. Pchnęłam jedne drzwi, drugie i trzecie i wybiegłam prosto na ulicę w lepkie i spocone ramiona rozpalonego miasta. Wzięłam głęboki oddech. Gęsta kula powietrza rozciągnęła policzki, żar wpadł wprost do gardła, a nozdrza wyścielił zapach topniejącego asfaltu. Podobno dziadek zawsze mówił, że lepszy jest bruk, a najlepsza twarda ziemia. Ale dla mnie właśnie tak pachniała i smakowała teraz wolność.

Tramwajowy dzwonek wyrwał mnie z zadumy. Akurat podjechała 20tka, która zatrzymuje się tuż przed domem. Odwróciłam się w przeciwną stronę i zaczęłam iść.

Uwolniłam włosy ze ścisku metalowej klamry. Poluźniłam lawalierkę i rozpięłam guziki koszuli. Jakiś chłopak, mijając mnie, przesunął leniwie wzrokiem po moim dekolcie, a ja — zaskoczona sobą samą — najpierw puściłam do niego oko, a potem puściłam się biegiem przed siebie, nad rzekę.

Na wałach opalali się ludzie. Niektórzy z podwiniętymi nogawkami spodni, zawiniętymi rękawami bluzek, to ci, którzy wyskoczyli z pobliskich biurowców na późne śniadanie lub wczesny lunch. Byli też tacy, co przystanęli tu tylko na chwilę albo zsiadli z rowerów. I byli też ci, którzy przyjechali tu specjalnie z kocami, koszami z przekąskami i głośnikami na Bluetooth.

Zdjęłam buty, zsunęłam białe podkolanówki i zeszłam nabosowstronę rzeki. Położyłam się na miękkiej, pachnącej wolnością trawie. Wysunęłam twarz do słońca i pozwoliłam, by lekki wiatr od wody otulał mi twarz. Pozwoliłam, by biedronka spacerowała po moim kolanie, a żdźbła traw łaskotały stopę. Położyłam się i wpatrywałam w chmury, które co chwila z lekkością zmieniały swój kształt i to, kim są. Pies, pomarańcza, krasnoludek, ćma...

Jeszcze nie wiem, czego chcę i co będę robić w życiu. Ale jedno jest pewne. Zawsze będę trwać w stanie zdumienia jego pięknem i niepowtarzalnością.

ANNA KRASIŃSKA

Latarka

Gdzie to odłożyłaś – krzyczał ojciec – pytam się, gdzie to odłożyłaś!

Słychać było otwierane i zamykane z impetem szuflady. Na podłogę leciały sztucce. Trzaskały drzwiczki od szafek, przewracały się krzesła.

Matka nie pozostawiała mu dłużna. Wyrzucała z siebie potoki słów. Wylewała z siebie całą nagromadzoną przez ostatnie dni frustrację. To całe chodzenie na palcach wokół niego, przymykanie oczu na zaczepki, gaszenie złości, znowu nic nie dało. Byli w tym samym miejscu co zawsze.

Po kilku minutach takiego krzyku, nikt z nich już nie pamiętał czego szukał ojciec.

Teraz kłócili się o niezapłacony rachunek za kablówkę (matka znowu zapomniała), o mandat, który ojciec dostał bo zaparkował na zakazie.

Potem było już tylko gorzej. Ciągłe te same żale i pretensje. „Bo ty zawsze”. „Jesteś jak twoja matka”. „A ty pięć lat temu”. Wszystkie słowa, których Maja wołałaby nigdy nie usłyszeć z ust swoich rodziców.

Schowana pod kołdrą próbowała wtedy czytać. Była zawsze przygotowana na takie okazje. W szufladzie biurka trzymała latarkę i zapas baterii. Ale krzyki słychać było przez ściany, zamknięte drzwi i kołdrę w kucyki pony, pod którą się chowała.

Literki skakały jej przed oczami. Trzeci raz czytała ten sam akapit. Co to było „Szatan z Siódmej Klasy”, a może „Ania z Zielonego Wzgórza”?

Jedno wiedziała na pewno, kiedy dorośnie, zrobi wszystko żeby jej dzieci nie musiały słuchać jej krzyków.

W końcu krzyki zawsze cichły. Słychać było trzaśnięcie drzwiami, kroki ojca na schodach. Matka zamykała się w pokoju. Przez ścianę słychać było jak szlocha.

Ojciec wracał nad ranem pijany, rano jedli razem śniadanie jak gdyby nigdy nic. Potem były wspólne lody w niedzielę. A potem z dnia na dzień, powietrze w domu robiło się ciężkie. Ojciec zaczynał nerwowo szurać kapciami, a matka podskakiwać nerwowo przy każdym trzaśnięciu drzwiami.

Po latach, dorosła Maja będzie szeptać swojemu mężowi na ucho:

Nie bądź zły, proszę.

„Wycisz, zagłaskaj”, wołała mała Maja w środku dużej Mai.

Tylko na mnie nie krzycz – prosi duża Maja. – następnym razem zapamiętam. Więcej tego nie zrobię.

Ale jest już za późno. Bo po chwili krzyczą już oboje, Maja i jej mąż: „Bo ty zawsze”. „Jesteś jak twoja matka”. „A ty pięć lat temu”.

Kiedy kończą, trzaskają drzwi i słychać jego szybkie kroki na schodach, Maja myśli o tym jak bardzo zawiodła samą siebie. Jak bardzo zawiodła małą Maję, która trzymała w szufladzie biurka latarkę i zapas baterii. Na wszelki wypadek.

Jedynym pocieszeniem jest dla niej to, że w jej domu żadne dziecko nie kuli się ze strachu żadne dziecko.

Maja tego dopilnowała.

KAMILA KAMIŃSKA

Głos wody

Czerwone kalosze stoją do połowy zanurzone w jeszcze chłodnych wodach jeziora. Drobne, skrzące fale dobijają do brzegu, obmywając błoto z prawej podeszwy. Na tropie wielkiej ropuchy weszła w przydrożne krzaki, a gdy wyszła z umazanym kaloszem matka się wściekła. Ile można prosić?! Wiecznie uświniona. Wszystko do prania. I wisienka na torcie, czyli przytaczana opinia, nie fakt, że jak była bobasem to się tyle nie brudziła co teraz. Więc stoi i odmacza prawy kalosz, a lewy dla towarzystwa. Pod wiosennie czystą, niemal przezroczystą taflą przemykają ławice małych ryb. Ma wrażenie, że kolor butów przyciąga je, a gdy tylko rozumieją kim jest – uciekają. Złości ją to. Przecież nic im nie zrobi. Nawet w przedszkolne piątki nie chce jeść ryby i potajemnie przerzuca ją na krzysiowy talerz.

Stoi ze łzami oburzenia skrzętnie wycieranymi rękawem. Nie da mamie satysfakcji, że tak ją zezłościła. Niech myśli, że nic jej to nie obeszło. Wraca do obserwacji wody. Trzcinowisko obok żyje. Całe aż rusza się od obecnych ptaków, owadów i najpewniej ryb przepływających mulistym dnem. Wzdryga się na myśl o śliskim mule w który czasem zapadają się stopy latem. Czy w jeziorze żyją węgorze? Długie i śliskie? Pyta taty. Ten śmieje się zarzucając wędkę, że chciałby. W głowie zapisuje, żeby sprawdzić w domowej encyklopedii. Węgorz jest na W. Tyle wie. O resztę podpyta albo przeszuka ilustrowany atlas taty.

Wstuchuje się w szum wody i lasu. Lubi jak jezioro jest puste. Nikt nie krzyczy, nie spienia wody, no może poza psem, który z impetem ładuje się tam, gdzie czuje grunt. A ona stoi posłusznie i chlupocze kaloszami w wodzie. Szeptem powtarza chrząszcz brzmi w trzcinie w Szczepreszynie. Bardzo ją to bawi. Sz Ż Cz Sz ż Cz i tak kilkanaście razy, aż matka każe jej przestać. A pani w przedszkolu każe ćwiczyć – odburkuje nadąsana i znów zatapia oczy w jezioro.

Dostrzega małe kijanki. Ich ogonki ruszają się zwinnie, przemykając w okolice trzcin. Ciekawe czy to dzieci tej żaby z krzaków. A może to była ropucha? Nie zdążyła się przyjrzeć.

Czy w jeziorze jest dużo żab?

A ile?

A więcej niż na łące?

A kiedy będzie można się kąpać?

Ja lubię zimno.

Tu kłamie. Jest jej już chłodno, ale wciąż moczy nieocieplone kalosze zmazując swoje winy.

Tata szarpie wędką i śmieje się, że coś ma. Kręci kołowrotkiem, dopóki nad taflę nie wynurza się srebrny przecinek. Majowe słońce odbija się od niego, a gdy jest bliżej widzi go. A właściwie ją. To sieja. Zna na pamięć ryby z albumu. Sieja wije się i walczy na żyłce, a dziesiątki jej łusek odbijają światło.

– Chcesz zobaczyć z bliska? – tata pyta ładując rybę do wiadra z wodą.

– Po co ją złapałeś?

– Na kolację – śmieje się i sprawdza, gdzie odłożył cienki nóż do filetowania.

– Nieee! – krzyczy

Patrzą zdziwieni.

– Nie zjecie jej! – stoi wciąż w wodzie, gdzie przykazano, ale rozchlapuje w złości wodę moczając wszystko dookoła.

– Ale po to przyjechaliśmy. Wy spacerować, ja łowić – tata wciąż nie rozumie.

Broda jej drży i nie kryje już łez, które coraz szybciej spływają z policzków. Coś jeszcze do niej mówią, ale ona nie słyszy. Płacze donośnie, wreszcie krzyczy. Wie, że w lesie krzyczeć nie wolno, więc patrząc im w oczy krzyczy jeszcze głośniejszym głosem. Jacyś ludzie przechodzący nieopodal też coś mówią, ale nie są w stanie przebić się przez ten krzyk. Głos niesie się po wodach jeziora i daje głowę, że słyszą ją nawet na drugim brzegu.

Przez zalane łzami oczy obraz rozmazuje się i faluje. Widzi tylko jak tata kręcąc głową wyciąga haczyk z rybiego pyszczka i kieruje się z wiadrem do jeziora. Nie wie czy sieja wyływa jak wystrzelona z procy, czy może otumaniona w bólu zsuwa się w chłodną toń, ale przestaje krzyczeć. I znów słyszy plusk wody, bo pies tym razem znalazł coś na dnie. Odmacza teraz kalosze trzęsąc się z zimna w mokrych spodniach.

– A pamiętasz jakie kino urządziłaś, jak chciałem uciąć rybie głowę? Pół gminy cię słyszało... – kiwa z niedowierzaniem.

– Nadal umiem głośno krzyczeć, nie fikaj – uśmiecha się i puszcza oko na do widzenia.

EWA PODGÓRNA-KOPCIUCH

Na skraju wielkiego lasu

Tu się wszystko zaczęło. Kiedy? Nikt tego nie pamięta. Pewnie dawno temu.

Ten las też był wtedy dopiero małym laskiem. Kilka samosiejek sterczących bezwładnie na olbrzymiej połaci gołej ziemi. Skąd się tam wzięły? Czy to ważne? Długo były same. Spokojnie wznastały przez lata. Wiatr, słońce, deszcz – karmiły je i pieściły. A one rosły. Dojrzały i zaczęły mieć dzieci. I tak rosła armia drzew stojących coraz gęściej. Żyjących w swojej wspólnocie. Broniących się nawzajem i troszczących się o siebie.

A potem zaczęły wpuszczać między swoje pnie i konary gości. Pojawiły się ptaki kryjące się pośród gałęzi. Budowały swe gniazda, wychowywały pisklęta, wpuszczały je w świat. Karmiły się owocami drzew i roznosiły ich nasiona.

Chmary owadów przelatywały między liśćmi, zamieszkiwały szczeliny w korze. Czyściły, dbały o wygląd drzew.

Małe gryzonie kopały jamki między korzeniami – swoim ciepłem grzały stopy drzew. Kolorowe wiewiórki śmigały między gałęziami. Szczebotały, śmiały się i rozweselały drzewa.

Największe zwierzęta, te chodzące po ziemi, często ocierały się o pnie lub siadywały w cieniu jaki dawały im drzewa. I toczyły długie rozmowy o życiu.

Było dobrze. Wszyscy do siebie pasowali. Żyli razem, umierali. Toczył się krąg życia.

Las długo nie wiedział, że świat się zmienia. Tu nowinki dochodziły bardzo wolno.

Czasami ptaki z daleka ćwierkały o dwunożnych istotach. Opowiadały, że to potwory i trzeba od nich uciekać. Ale na razie nikt nie czuł niepokoju.

Pewnego dnia, na początku lata, na skraju lasu zauważono jakieś zawiniątko. Gałęzie granicznych drzew pochyliły się nad nim. W środku była jakaś istota. Okrągła głowa, dwoje oczu, cztery kończyny. Myślały, że to jakieś zwierzę. Małe, nieowłosione jeszcze. Szumem liści przekazywano sobie wiadomość: Czy ktoś zgubił swoje dziecko?

Przyszły różne zwierzęta, patrzyły na znajdę, ale nikt się do niej nie przyznawał. Bo też do nikogo nie była podobna. Zaczęto dyskutować co z nią zrobić. Każde stworzenie ma prawo do życia, ono też. Wreszcie najstarsza puma postanowiła, że przygarnie to do swojej rodziny. I tak się stało.

Maluch nie umiał chodzić i wydawał z siebie dziwne dźwięki. Ale szybko się zaaklimatyzował z grupą małych pumiątek. Po pewnym czasie baraszkował z nimi w legowisku. Sierść zaczęła go porastać bardzo nierówno, bo tylko na głowie. Może to taki dziwny gatunek. Po paru miesiącach ganiał na swoich czterech kończynach nie gorzej od młodych pum. Jadł razem z nimi mięso i rósł jak na drożdżach. Szybko przerósł swoich kocich braci. Ale umiał się z nimi porozumiewać, chodził na polowania. Poznał inne zwierzęta. Wiedział jak zachowywać się w lesie. Problem był tylko z tym, że ciągle nie miał futra. Ale las nie zostawia swoich mieszkańców w potrzebie. Gdy umarł najstarszy niedźwiedź, inne miśki oddały futro temu wybrakowanemu kotu. Bo wszyscy tak go postrzegali. Był pumą. Dziwną wprawdzie, ale żył z tą rodziną i był jej członkiem.

Lata mijały. Pory roku zmieniały się systematycznie. Goły kot – bo tak go nazywano, był już bardzo duży. Pewnego dnia chciał ściągnąć owoc wiszący wysoko nad nim. Stał na tylnych łapach i wyciągnął przednie. I poczuł, że w tej postawie jest mu wygodnie. Wyprostował się. Złapał się za drzewo i stanął mocno na tylnych łapach. A teraz były one dolne. Przesunął parę razy kończyny po ziemi. Poczuł się pewnie. I ruszył. To było całkiem coś innego. Głowa była na górze. Mógł ją zadrzeć i zobaczyć niebo. Zobaczyć czubki drzew, ptaki latające, fruujące motyle. Pobiegł już na dwóch łapach do swoich braci. Pokazał im jak to jest cudownie podziwiać to co na górze. Inne pumy zaczęły próbować stawać na dwóch łapach, ale nie umiały. Zasmucił się dwunożny kot. Ale to nic. On będzie mógł dla nich zbierać owoce, te do których nie dostaną.

I znów mijały lata. Goły kot przeżył swoich wszystkich braci i siostry. Następne pokolenia pum rodziły się i rosły u jego boku. Był najstarszy i najmądrzejszy z nich. Ale nie chciał być przywódcą. Nie był taki jak one. Wszyscy to wiedzieli. Lecz cieszył się szacunkiem.

Pewnego lata wśród drzew rozeszła się wieść, że na skraju lasu coś się dzieje. Niedobrego. Goła puma postanowiła to sprawdzić. Szedł między gęstwiną, przez strumienie, przez wzniesienia. Nigdy nie był na końcu lasu. Lub jego początku. Po wielu dniach wędrówki dojrzał pomiędzy pniami prześwity. Po paru godzinach dotarł do miejsca, gdzie tylko jeden rząd drzew dzielił go od otwartej przestrzeni.

Przystanął. Tam w oddali widział małe figurki przesuwające się wolno. Zobaczył wstążki ubitej ziemi, na horyzoncie dziwne konstrukcje. Nie wiedział co ma zrobić. Tylko parę kroków dzieliło go od nieznanego. Nigdy niczego się nie bał. Ale teraz czuł niepokój. Czy ma iść dalej? Czy zawrócić? Jaką decyzję ma podjąć.

Stał na skraju wielkiego lasu i się wahał.

Od ciebie czytelniku zależy jaką drogą iść.

I czy w tym lesie będzie także koniec wszystkiego.

WIESIA PASZEK

Ciepło, zimno

Obudziło mnie słońce. Świeciło intensywną bielą prosto w moje oczy i przewiercało się do mózgu. Schwyciłam za róg kołdry i przykryłam głowę, ale ono i tak swą mocą przeciskało się przez warstwy puchu. Zrezygnowana odkryłam się i spojrzałam na zegarek. Czwarta rano! Po kilku miesiącach na Islandii zaczynałam rozumieć znaczenie rolet zaciemniających. Zaczynałam coraz bardziej rozumieć, że to co było oczywistą oczywistością takie oczywiste już nie jest. Zrozumiałam, że okulary słoneczne najbardziej przydatne są zimą, kiedy słońce świeci pod małym kątem i dodatkowo odbija się od zazwyczaj mokrej nawierzchni skuteczność oślepiając. Zimą nauczyłam się też, że jeżeli już, to burzy należy spodziewać się właśnie zimą, choć większość Islandczyków nigdy jej nie widziało, a piorun to dla nich taka sama atrakcja jak dla mnie zorza. Zrozumiałam też, że na pytanie co u ciebie słychać absolutnie nie mogę odpowiedzieć, że po staremu, a poza tym pralka mi się zepsuła. Trzeba iść w zaparte i twierdzić, że wszystko jest super. Może takie zaklinanie rzeczywistości działa na nią tak, jak placebo na organizm? Może. Muszę to jeszcze wypróbować i bardziej w to uwierzyć.

No a teraz leżą w łóżku a czwartej rano i nie mogę zmrużyć oczu. Wpadam jednak na genialny pomysł. Zrywam się z łóżka i biegnę do przedpokoju po chłodnym parkiecie. Wywalam z szafy kurtki, rękawiczki i czapki, bo wiem że gdzieś tam na samym dnie jest upchana walizka. W końcu udaje mi się ją wygrzebać. Otwieram czarny suwak i z nadzieją zaglądam do środka. Szara opaska na oczy leży na dnie, tak jak się tego spodziewałam. Dumna ze swojej inteligencji i pomysłowości wracam do łóżka ze swoją zdobyczą i znowu się kładę, Zakrywam oczy, ale wiem, że słońce tam jest i puka w szyby. Słyszę jak mówi, że przecież już i tak nie zasnę, bo się totalnie wybudziłam. Ja jednak uparcie tkwię w pozycji horyzontalnej przypominając sobie, że przecież muszę nauczyć się zaklinać rzeczywistość, a jak uwierzę w to, że jest środek nocy, bo jest, to zasnę. Uwierzyć jednak trudno. Poddaję się ze złością zrzucając opaskę i podchodzę do okna. Na Barónstígur jest prawie pusto. Poza kilkoma turystami, na ulicy nie ma nikogo. Islandczycy śpią co mnie nie dziwi choć zadziwia mnie to, że potrafię już odróżnić miejscowego od utlendinga, jak obcokrajowców nazywają tutejsi. Zatrzymuje mnie ta

myśl na chwilę, próbuję zanalizować własny tok myślowy i dochodzą do wniosku, że jednak większość Islandczyków, a przynajmniej islandzkich kobiet nie będzie paradować po ulicy w kolorowych kurtkach. Czerni, szarość i wszystkie tego odcienie to obowiązujące dress code. Momentalnie przypominam sobie moją czerwoną kurtkę i różową czapkę, które zapewne jeszcze leżą na środku przedpokojowej podłogi. Wzdycham, bo nie lubię czarnego. Zrezygnowana idę zaparzyć sobie mocną, nocną kawę. Woda gotuje się powoli na ceramicznej kuchence, więc chwytam za telefon, żeby sprawdzić co dzieje się w kraju. W moim kraju, zapominając, że jest środek nocy, na razie nie dzieje się nic, więc odpalam socjale. Zalewają mnie zdjęcia znajomych grzejących się gdzieś na bałtyckiej plaży. Swojski widok kolorowych parawanów w tle wywołuje uśmiech nad moją twarzą. Właśnie mnie olśniło. Przecież tu też jest lato! Przecież też mogę iść na plażę! Po kilku kawach i kilku godzinach parkuję samochód przy Nauthólsvík. Wyciągam z bagażnika torbę z prowiantem i kocyk. Powtarzam sobie kilkukrotnie „jest ciepło, jest ciepło, jest ciepło” w ramach treningu w zaklinaniu rzeczywistości, bo 15 stopni to przecież upał i wychodzę na plażę. Schodzę po schodkach mijając kilka geotermalnych niecek z wodą, bo to przecież geotermalna plaża i idę w stronę oceanu. Szary piasek wsypuje mi się do butów, więc je zdejmuję i po kilku krokach rozkładam koc. Siadam na nim na chwilę i wpatruję się w domy po drugiej stronie zatoki zbierając się na odwagę. Rozbieram się do stroju kąpielowego w takt powtarzanych w myślach słów „jest ciepło, jest ciepło, jest ciepło”. Biegnę drobnymi kroczkami w stronę wody próbując zmylić zimne powietrze i własną skórę. W wodzie tapla się już kilkoro dzieci budujących czarne kopce, wulkany. Zanurzam stopy. Stoję. „Jest ciepło, jest ciepło, jest ciepło!” Powtarzam w myślach słowa jak mantrę nie mogąc się ruszyć. Boję się, że dostałam już odmrożeń czwartego stopnia, bo nie czuję stóp. Patrzę w dół, ale one jednak tam jeszcze są. Woda co rusz z każdą falą obmywa je, przychodzi to odchodzi niosąc ze sobą bordowe glony. Nie czuje nic. Pod wodą błyszczą czarne kamyki tak kontrastujące z szaro—fioletową już skórą moich stóp. Rozsądek podpowiada mi, że na dzisiaj to koniec letnich kąpeli i szybcutko wracam na niebieski kocyk udając, że czego tam zapomniałam. Siadam opatulając się szczelnie puchatym ręcznikiem. Na to wszystko zarzucamy jeszcze czerwoną kurtkę. Czapka została niestety w przedpokoju. Z tej bezpiecznej przestrzeni obserwuję nadal skaczące w wodzie islandzkie dzieci. Zaklinanie rzeczywistości dla osiągnięcia jej pełnej skuteczności trzeba jednak zaczynać w dużo młodszym niż mój wieku, myślę z niepokojem.

BEATA BANASZCZYK

Zamążpójście

Ja pierdolę, jak tu gorąco! A ta mi jeszcze na czoło dmucha! — pomyślała Gabriella.

Jak się wpakowała w to małżeństwo z Zygmuntem Zabłockim?! Teraz musi tu siedzieć z tymi melepetami, związana trzema gorsetami, halką i toną organdy czy innego poliestru! Och, ale bym pooglądała TikToka i zapaliła skręta. Chociaż... chyba skręta, a potem TikToka.

— Ej, możecie włączyć klimę? Ugotuję się zaraz! — Marianna Dybecka spojrzała na mnie z politowaniem, dobrze, że nie wywróciła oczami. Wiecznie jej zimno, dlatego nawet latem chodzi w zamszu.

— Mamy tylko wiatrak!

Ach, no tak! Technologia jeszcze nie dotarła do dworku.

Jezuuu! Wszystko mnie ciśnie! Po co mi to było? Bo hektary i konie? I wycieczki do RPA (Rossmann, Pepco, Action)?! Poza tym jest przystojny i wygrał wybory Misterra Mokrego Szlachcica w 1765... No i może właśnie dlatego. Wracając do Mistera — to też mnie wkurza, że on taki piękny, wyluzowany, pojedzie na koniu, brylantyną włos przejedzie i gotowy! A ja?! Kosmetyczka, fryzjer, Chanel numer 5 i jeszcze się gniotę w niewygodnej sukni. A lalunie obok mnie myślą, że Boga za nogi złapały, bo są moimi druhnami! Pfff!

Andzia Braniecka — wianek założyła, chociaż już dawno oryginał oddała stajennemu, a teraz myśli, że poderwie Maurycego z „vel” w nazwisku. Frajerka!



The Reluctant Fiancée, Auguste Toulmouche, 1866

Marianka z kolei to ciepłolubna, bladolica niewiasta szukająca sobie jakiegoś bogatego Mieczysława, żeby zabrał ją na OL EKSKJUZMI! Najlepiej do Egiptu, bo podobno tam cały rok ciepło. Nie cierpię jej!

A Józefa Gawrońska... Tylko by całowała i całowała. W czoło, ręce, gdzie popadnie.

– Gabryniu to, Gabryniu tamto, a może welon, o jeju, jeju! Jaka jestem wdzięczna, że mogę być druhną! – i cmok! I cmok! No, oszaleć można!

I jeszcze ten w rogu! Co obraz maluje! Nie ma na świecie już normalnego fotografa?! Tylko a'la Picasso jakiś?! Z francusko-hiszpańskiej choinki urwany. Rozmawiałam z kilkoma typiarami i podobno demon – nie człowiek! Tak manipuluje, tak manipuluje, że każda mu się do łóżka pakuje! Tragedia... Ja bym nie mogła, przewyższam go co najmniej o głowę.

Nic, po prostu nic nie idzie dzisiaj po mojej myśli! Kolejna zgryzota – zespół. Zygmunt chciał Zenona Martyniuka, bo jak stwierdził: „tego wieczoru chce mi wręczyć mandat za przekroczenie piękności”... Ja z kolei wołałabym AC/DC, bo cały ten ślub to, kurwa, jakiś highway to hell! Ale nie! Teściowa się wtrąciła, że szylingi na wesele daje, to będzie Zenek, bo stryjeczna siostra męża mej „ukochanej” teściowej kocha renesansowe disco polo.

A ja, cóż ja... Wynegocjowałam koreczki ze smalcem i vana z Prosecco. No i zaraz będę żoną, będę piec zdrowe kotlety w „powietrznym frajerze” i tak mija ta sobota...

No cóż, trzeba znosić trudy życia, jeśli nie chciałam zostać starą panną w wieku dwudziestu lat.

AGATA SCHUBERT

Spóźnieni

– Ufałam Ci – głos Ireny drżał od tłumionej złości, przedawnionej goryczy i starych rozczarowań.

– I wszystko jest w porządku – Michał niezdarnie włożył Antosia do fotelika w czerwonej skodzie, otrzepał mu spodenki, zapiął pasy i wręczył pudełko kukurydzianych chrupek, które leżało obok.

– Serio? Mówisz serio?

– Proszę Cię – Michał ściszył głos, jakby ten prosty zabieg mógł uratować sytuację, powstrzymać Irenę przed wybuchem skuteczniejszą niż troska o dobrostan dziecka – zdążyłem, mam zdjęcia, Antoś jest cały i zdrowy...

– To czy jest zdrowy to się dopiero okaże – przerwała mu Irena złowrogo – jesteś nieodpowiedzialny, wiedziałam od samego początku, że powinnam poprosić kogoś innego a nie się zgadzać, dać Ci tę jeszcze jedną szansę. To ostatni raz, rozumiesz, ostatni! – Irena zamknęła drzwi po stronie chłopca, może trochę mocniej i głośniejszą niż zamierzała, ale wezbrane emocje potrzebowały ujścia.

– Irena – Michał ścisnął jej łokieć, może trochę mocniej niż chciał, ale musiał ją zatrzymać w jej gniewie i ucieczce, wytłumaczyć okoliczności, przekonać – jak tylko zadzwoniłaś, rzuciłem wszystko. Auto mi nie odpaliło. Naprawdę, to nie żadna wymówka, możemy podjechać do mnie, sama zobaczysz. Chwyciłem za rower, to mi się wydało najszybsze i najrozsądniejsze. No i prawie zdążyłem do tego przedszkola. Śpiewali jeszcze piosenkę, pomachałem mu, zauważył mnie, słyszysz? Wie, że byłem. Zresztą najważniejsze, że zdążyłem na to wspólne dekorowanie dyni, prawda? Nie będzie miał traumy, Irena, naprawdę, spóźnienie rodzica na przedstawienie w przedszkolu nie powoduje koszmarów i moczenia w nocy. Bądź rozsądna, proszę. Wyszliśmy trochę wcześniej, żeby zdążyć na czas. Nie przewidziałem tylko, że zacznie padać. Ale popatrz, prawie nie jest mokry. Bardzo mu się podobało jechanie w torebce foliowej, gdyby nie ta kałuża na koniec, w którą wjechałaś...

– A więc teraz to moja wina? Moja? Jesteś świetny w przrzucaniu winy na kogoś, Michał, ale ja się już nie dam na to złapać, rozumiesz?

– Nie, wcale nie mówię, że to Twoja wina. Ale gdybyś jechała wolniej...
– Spieszyłam się
– Ale gdybyś troszkę zwolniła lub ominęła tę kałużę na poboczu, nie ochlapałabyś nas. Bylibyśmy...

– Padał deszcz, i tak byliście mokrzy

– Ale może nie tak ubłoceni – Michał przetarł dłonią grzywkę, która zdążyła mu opaść na skroń. Na palcach zostały mu grudki ziemi, prawą połowę płaszcza miał mokrą, okulary dawno zdjął, całe mu zaparowały. Irenie może nawet zrobiłoby się go szkoda, gdyby nie była tak uparta i nie skreśliła zawczasu wszystkich jego starań.

– Muszę jechać, bo się spóźnimy – odchrząknęła

– Ok – Michał puścił jej łokieć – dziękuję, że dałaś mi znać o tym przedstawieniu i pozwoliłaś przyjechać.

– Ok, na razie – Irena wsiadła do samochodu i odwróciła się do syna – Nie jest Ci zimno Antosiu?

– Nie, mama, było super. Kiedy tata znów przyjdzie?

Irena westchnęła. Istniała tylko jedna metoda burzenia muru jej uprzedzeń i niechęci. Zastanawiała się przez chwilę, czy jej skuteczność zależy od wieku radosnych błękitnych oczu, które teraz ufnie się w nią wpatrywały. Kiedy przestanie być na nie podatna? Czy uleganie prośbom Antosia minie z końcem przedszkola, trzeciej klasy, osiągnięcia upierdliwych lat nastu czy może jest trwale skazana na Michała, w którym tak bardzo chciała upatrywać przyczyn wszystkich swoich porażek, niekompetencji i rozczarowań. A może nadszedł czas, by zmierzyć się sama ze sobą, bez zastaniania kimkolwiek i szukania prostych wymówek. Ten najwyższy czas. Odpaliła samochód. Teraz nie miała czasu, żeby o tym myśleć, w końcu byli spóźnieni.

KAROLINA KULIKOWSKA



Patrząc na księdza Roberta przede mną, moje myśli automatycznie uciekają do tamtej niedzieli – niecały rok temu.

Pojechaliśmy wtedy na kilka dni do Rzymu. Od zawsze mówiliśmy, że chcemy razem po raz pierwszy zobaczyć Wieczne Miasto. Mieliśmy tam spędzić trzy dni i trzy noce. Ciągłe chodziliśmy, więc nogi wchodziły nam w kręgosłup już po kilku godzinach.

Pierwszego wieczoru koniecznie chciałeś iść zobaczyć jakąś fontannę. Stały przy niej i rozmawiały dwie starsze panie, więc chciałeś poczekać – na co, nie wiedziałam. Po dwudziestu pięciu minutach zaczęłam marudzić, że fontanna cudna, jak setki innych w tym mieście, i że możemy zrobić sobie selfie nawet i z paniami, bo tak w ogóle to muszę do toalety. Niezbyt zadowolony, ale się zgodziłeś.

Drugiego wieczoru powiedziałaś, że idziemy do innego parku, z inną fontanną – od kiedy miałaś na nie taką fazę? Poszliśmy. Ale tam z kolei akurat trwało jakieś wieczorne zwiedzanie, po angielsku, dla grupy bardzo międzynarodowej. Zaproponowałaś, byśmy przysiedli i poczekali. Znowu.

Ledwo stałam, więc ucieszyłam się, że tu chociaż są ławeczki. Oklapłam obok ciebie, oparłam głowę o twoje ramię i... pamiętam tylko, że potem mnie obudziłeś. Mówiłeś, że Uber zaraz będzie. Że jedziemy do hotelu. Znowu zdawałeś się być lekko zirytowany.

Ostatniego dnia – w niedzielę właśnie – wymyśliłeś, że podjedziemy busikiem na wzgórze Janikulum, by domknąć nasz pobyt widokiem zachodzącego nad Rzymem słońca. Ale busiki jeżdżą tam dość sporadycznie, a my się na nasz spóźniliśmy. Na przystanku ostał się tylko pan z małym czarnym pieskiem, wesoło merdającym ogonkiem. Miziałam go za uchem, gdy ty nerwowo szukałeś czegoś w telefonie.

Nagle rzuciłeś zdecydowane:

– Idziemy!

I z jękiem wydobywającym się z obolałych mięśni ruszyłam za tobą. Nie szliśmy za szybko – ja, z moją astmą, nie jestem najlepszym towarzyszem wspinaczek. Widok już po drodze był piękny, ale było jasne, że na szczyt nie dojdziemy przed zachodem.

Powiedziałam, żebyśmy stanęli i popatrzyli z tego miejsca – że tu też jest pięknie.

Podeszłam do krawędzi, by nacieszyć się widokiem złoto—różowego nieba i blasku, jakim znikające słońce otulało Wieczne Miasto.

Odwróciłam się do ciebie, by coś ci pokazać — dziś nawet nie wiem co — i zobaczyłam cię na jednym kolanie. W dłoniach trzymałeś małe, welurowe, otwarte pudełeczko z pierścieniem w środku.

Oniemiałam.

A ty zacząłeś mówić — że odkąd jesteśmy w Rzymie, starałeś się znaleźć idealnie romantyczne miejsce. Że chciałeś wyrazić mi swoją wielką miłość. Że masz nadzieję, że ją odwzajemniam. I że zgodzę się zostać twoją ukochaną, najlepszą przyjaciółką i żoną. Już na zawsze.

Słuchałam cię, ale mój mózg oceniał ziemię, na której klęczałeś. Wszystkie śmieci i rozbite szkło, które tam się walało. I próbowałam sobie przypomnieć, czy masz ważne szczepienie na tężec.

A potem zorientowałam się, że czekasz na moją odpowiedź.

Spojrzałam ci w oczy, wyszeptalam najpierw cichutkie „tak”, a potem dużo głośniej:

— Tak, tylko wstań z tej ziemi!

Podniosłeś się i wzięłeś mnie w ramiona. Pierścionek pasował idealnie. Wszystko było idealne.

Potem mijały tygodnie i miesiące, a wszystkie rozmowy i decyzje dotyczyły dnia naszego ślubu: jedzenia, gości, muzyki, kwiatów, miejsca, ubrań.

I nadszedł ten dzień.

Jestem w kościele, w którym miałam być. Przed księdzem Robertem, który udzielał mi pierwszej komunii świętej. Otoczona gośćmi, których chcieliśmy zaprosić. Pierścionek zaręczynowy wciąż siedzi idealnie na moim palcu.

Tylko kilka szczegółów jest nieidealnych.

Moja sukienka nie jest biała, tylko czarna.

Towarzyszące nam kwiaty nie są bukietami, tylko wiązankami.

Łzy nie są wyrazem radości, tylko smutku.

A ty... zamiast stać obok mnie, leżysz przede mną w jakimś czarnym pudełku.

I wybierasz się na wędrowkę, w której nie mogę ci, kochanie, towarzyszyć.

KAROLINA SAWKA

Chusteczki

Tykanie ściennego zegara rozdzierało pełną napięcia ciszę. Czuła delikatny podmuch klimatyzacji na ubranych w ramiączka od letniej sukienki ramionach. Patrzyła na swoje spocone z nerwów dłonie. Przy kilku paznokciach odstawały skórki, z którymi z rozkoszą by się w tym momencie rozprawiła, zjadając przy okazji resztki czerwonego lakieru.

Przekładając nogę na nogę, uderzyła nią w mały, pomalowany na biało stolik. Podobał jej się. Dzięki swoim niewielkim rozmiarom zapobiegał bałaganowi. Stojące zaś pośrodku pudełko chusteczek higienicznych, robiło sztuczny, choć adekwatny tłok.

Zauważyła, że buty mężczyzny, siedzącego po drugiej stronie stolika, poruszyły się nieznacznie. Trochę tak, jakby nieśmiało przypominały o swoim istnieniu.

Bardzo chciała coś powiedzieć. Nie lubiła siedzieć w niezręcznej i do tego pełnej wyczuwalnego napięcia ciszy. Ale co powiedzieć psychoterapeucie na kolejnej sesji, gdy poprzednią zakończyło się wyznaniem miłości?

– Może chce Pani, żebym wyjątkowo to ja dziś zaczął? – Zapytał psychoterapeuta Sebastian, jak zwykle czytając jej w myślach.

– Nie wiem... Może? – Bąknęła cicho Marlina.

– Cisza też jest dobra, jeśli akurat tego Pani teraz potrzebuje.

Marlina nie wiedziała, czego potrzebuje. Gabinet psychoterapii powinien być idealną przestrzenią do tego, żeby to odkryć.

Ale co w sytuacji, gdy jedyne, co odkryła w ostatnim czasie to uczucia do gościa, z którym spędzała pięćdziesiąt minut raz na dwa tygodnie. To był czas, za który płaciła, który przynosił ze sobą ulgę i ukojenie. Przynajmniej do momentu wyznania największego sekretu, bezpośrednio dotyczącego typu z naprzeciwka.

– Podejrzewam, że to nie jest dla Pani ani łatwe, ani specjalnie komfortowe, żeby tu teraz być. – Głos pana Sebastiana jak zwykle przeszywał ją na wylot, jednocześnie zalewając jej serce solidną dawką spokoju. – Mogę jednak też się mylić i źle interpretować Pani emocje.

Marlena westchnęła ciężko. Zła na to, że ten piekielny zegar nadal tyka, jak gdyby nigdy nic, podniosła głowę i spojrzała na swojego rozmówcę.

Pan Sebastian. Rozmiar buta być może czterdzieści trzy, ale lat na pewno czterdzieści osiem, bo to dokładnie sprawdziła. Bagatela, dwadzieścia lat więcej od niej. Nie sądziła, że szuka w nim ojca, choć tej ewentualności jeszcze nie omawiali. Ciemne, przenikliwe oczy, równo przystrzyżony u barbera zarost, delikatny uśmiech, gdy się nad czymś zastanawiał. Sylwetka naturalnie szczupła ze śladami uczęszczania raz w tygodniu na siłownię w centrum Szczecina. Długie palce, opiłowane paznokcie i nieskalane fizyczną pracą dłonie. I koszula. Cholernie męska koszula w kratę, której wersji miał chyba we wszystkich kolorach. No bóg. Chodzący po ziemi Achilles, czy inny pociągający Posejdon. I jeszcze potrafi słuchać. Powinien mieć zakaz wykonywania zawodu przez to, jakie robi wrażenie na kobietach.

– Chyba będę musiała przerwać terapię. – Powiedziała, patrząc mu w oczy. – Za dużo mnie to kosztuje... emocji.

– Rozumiem Pani Marleno. Nie zatrzymam Pani na siłę. Ale chciałbym to z Panią omówić, bo to, co się dzieje, ma swoje wytłumaczenie, a potem, myślę, że będzie Pani lżej.

Mówiąc ostatnie zdanie, terapeuta podsunął w jej stronę pudełko z chusteczkami po małym stoliku, a Marlena dopiero teraz zauważyła, że po jej policzkach płyną łzy.

KATARZYNA FRELIK

Jest za późno

To był dzień jak co dzień. Zwykły wtorek. Wstałem o ósmej by zdążyć na dziewiątą do pracy. Wziąłem Ubera, bo nie chciało mi się tłuc komunikacją. Dzień był szarobury, ale miałem dobry humor. Miałem plan na wszystko, miałem wygodną pracę, która nie wymagała ode mnie wysiłku. Po pracy mogłem robić co chciałem, nie zanosłem jej do domu. Oglądałem filmy na YouTube, tik toki, Instagrama. I tak dzień jakoś zlatywał. Bez żadnych trosk i odpowiedzialności. Spotykałem się też z dziewczyną z Tindera od kilku miesięcy. Podobała mi się, lubiłem ją. Była dużo starsza niż ja i to mnie w niej kręciło. Ostatnio mieliśmy jedną trudną rozmowę. Podobno za mało się odzywam do niej i jestem niedostępny. Odpisuję na smsy po paru dniach, dzwonię nieregularnie. Miała rację to nie było okey, zwłaszcza, że ona źle się z tym czuła. Myślałem o tym dużo, ze dwa tygodnie co najmniej. Doszedłem do wniosku, że tak już mam, jak się zajmę jakimiś rzeczami, to nie pamiętam o odpisywaniu na wiadomości. No ale przyznałem jej rację po przemyśleniach. Sam nazwałem swoje zachowanie gówniarskim. Kiedy rozmawialiśmy o tym wszystkim, powiedziała mi, że regularny kontakt jest dla niej ważny, bo jeśli mamy być związku to ona potrzebuje kogoś na kogo może liczyć. Chce móc napisać do swojego chłopaka o jakimś sukcesie i nie chce dostać odpowiedzi po paru dniach. Chce zadzwonić do swojego chłopaka i powiedzieć mu, że złamała nogę i nie słyszeć skrzynki pocztowej w słuchawce. Rozumiałem to, z grubsza to rozumiałem. I miałem zamiar się zmienić, popracować nad tym. Ale okazało się, że na naszym ostatnim spotkaniu powiedziałem o kilka rzeczy za dużo i o jedną za mało.

We wtorek o 9:30, gdy piłem pierwszą kawę dostałem wiadomość:

“Hej Michał, myślałam dużo o naszej rozmowie. Szczególnie o tym, że do niczego nie możesz się zadeklarować, o niepewności, którą masz w sobie. I dzięki za tę szczerość, masz rację, że to lepsze niż mówienie mi nieprawdy i mówienie mi tego, co bym chciała usłyszeć. Tylko to wciąż nie jest dobrze. I choć Cię lubię i wciąż czuję pociąg do Ciebie, to za mało. Nie stać mnie emocjonalnie na czekanie i niepewność. I nie chodzi o to, że ja obiecuję nierozzerwalny związek, bo nie wiem co się stanie. Ale chcę żebyś wiedział, że z mojej strony była pełna chęć zbudowania czegoś i zaangażowania się, które naturalnie

spadły, gdy z Twojej strony pokazała się niepewność. Dodatkowo czuję, że trzymasz mnie na dystans, niby się spotykamy, ale nie czuję się zaproszona do Twojego życia. Nie odpowiadasz na niektóre pytania. I oczywiście masz do tego prawo, ale jednocześnie nie mogę Cię bliżej poznać. I możemy dyskutować, intelektualizować wybory itd. Ale liczy się to, co się czuje. I uczucia nie podlegają dyskusji. Ja chcę być w relacji, w której ktoś nie może pozwolić sobie na stratę czegoś dobrego i dla którego chęć zbudowania więzi jest priorytetem, nie zabawą, nie czymś przy okazji. Tak sobie myślę, że może to faktycznie jest różnica wieku między nami i doświadczeń. Ja wiem jak trudno jest znaleźć wartościową osobę i jak trudno jest zbudować relację, a może Ty musisz się jeszcze o tym przekonać by wiedzieć, że to ważne i to docenić. A może to nigdy nie będzie dla Ciebie aż takie ważne. I w sumie to też jest okey. Tylko, że nie dla mnie. Więc przez to wszystko chcę powiedzieć, że nic z tego nie będzie. Ja nie czuję się dobrze z tym jak jest. I nie chcę dłużej czekać i żyć w niepewności.”

“Ona nie będzie dłużej czekać” – te słowa wryły mu się w sercu. Stracił oddech. Musiał wyjść natychmiast z biura. Jego plan się nie udał. Oni mieli być razem. Chciał powoli budować relację, rozwlekał to w czasie. Nie był gotowy tak od razu, choć chciał być w poważnej relacji. Chciał i nie chciał. Wiedział, że było w nim dużo niepewności, ale to był jego pierwszy raz. Nigdy nie był w związku. Skąd miał wiedzieć jak to się robi?

A teraz nie mógł oddychać. Skłonił się w pas i oparł o budynek. Ktoś go minął: I zapytał: –Czy wszystko w porządku? – Tak, tak. – rzucił resztką sił. Ale nic nie było w porządku. Jego wygodne i beztróskie życie skończyło się w jednej sekundzie. Coś tu nie gra. Dlaczego serce tak kłuje?

Dlaczego nie zachował się lepiej? Dlaczego nie pokazał jej jak bardzo mu na niej zależy? Jego terapeutka mówiła, że sam sabotuje związki. Czy to się właśnie stało? Ale przecież to nie on to zakończył. To ona. Ona już nie będzie żyć w niepewności i czekać. Serce waliło jak opętane. Już nie zobaczy jej szerokiego uśmiechu, dźwięcznego głosu, który tak kocha. Kocha? Tak, kocha. Dlaczego nigdy nie powiedział słów: Kocham Cię? Dlaczego nie wziął za nie odpowiedzialności? Dlaczego jest takim cholernym gówniarzem?

Chwycił za telefon i wykręcił jej numer. “Abonent nie istnieje” – usłyszał w słuchawce. Zobaczył ciemność przed oczami.

To koniec.

Zablokowała go.

Bez opcji na poprawę.

Bez wyjścia awaryjnego.

Jest za późno.

MARTYNA GŁOWNIA

Schabowy

Wkładam rękę do prawej kieszeni mojej kurtki. Lubię ją. Mama mi ją kupiła. W właśnie na taką pogodę, kiedy jest zimno i pada śnieg. Można w niej zatopić ciało, jak w całym worku ciepłego, białego gęsiego puchu. Dlatego mówi się na to puchówka. Jest jednak jeden minus tej kurtki, te pióra czasem wychodzą. Wtedy taki ostry koniec wystaje i można się o niego zahaczyć.

Z kieszeni wyciągam klucze. Do drzwi. Do drzwi głównych od domu. Ten złoty klucz z żółtą plastikową nakładką jest od drzwi domowych, srebrny z niebieską od piwnicy, a taki lekko szary ma czerwony plastik i jest od domu babci.

Nie mam więcej kluczy, chociaż w domu jest jeszcze dużo zamków. Dużo miejsc ma klucze. I te klucze, do tych zamków ma tylko mama i Zbyszek.

Wycieram nogi o wycieraczkę z napisem WELCOME. Mówiłem mamie, że wolę tą wycieraczkę z kotem, ale nie posłuchała i kupiła tę. Najpierw prawa noga, potem lewa, prawa, lewa, prawa, lewa. Łapie za klamkę i naciskam ją. Już prawie wchodzę, jednak decyduje się na jeszcze 2 ruchy nogami. Prawa, lewa.

– dzień dobry Romku! – słyszę głos za plecami, nie odwracam się, nie można, wtedy będzie koniec, wtedy mnie załatwią. Muszę szybko uciec. Schować się. Biec. Zabarykadować.

Wpadam więc szybko do domu zatrzaskuje drzwi i przebiegam do nich plecami. Klucze wkładam w zamek, przekręcam, łapie za pokrętło łucznika i na wszelki wypadek zaciągam szafkę z butami na drzwi żeby uniemożliwić im wejście. Siadam na szafkę i zapieram się nogami, z całej siły. O tak, teraz jestem bezpieczny.

– Romek to ty? – głos Kobiety stłumiony kilkoma ścianami dobiega do mnie powoli.

– Taaaa... – kiedy patrzę na drzwi przede mną widzę w nich Zbyszka. – To on. Dataś mu dzisiaj leki? Właśnie zabarykadował drzwi, szafką na buty.

– Chcieli mnie napaść! Napaść i zabić. Ocaliłem nas! – nigdy mnie nie doceniają, tego co dla nich robię i jak ich chronię.

– Ahhaaa.. Kto dzisiaj? Pani Łuszczynska spod trójki czy dziadek Alojzy spod ósemki?

– Zbyszek wywraca oczami, a mama podchodzi do mnie w fartuchu czerwone maki. Lubię maki.

– Chodź Romuś – mama rozpina mi zamek mojej puchówki. Takiej co ma w sobie gęsie pierze. Lubię ją. Moją kurtkę. Mamę też. Czasem. – zaraz będzie obiad. Zrobiłam twoje ulubione kotleciki.

Lubię kotleciki.

Zawsze rozkładałam talerze. To mój obowiązek, mój przydział. Z prawej dla mamy, z lewej dla mnie, a Zbyszek siedzi na środku. Układam widelec z prawej, nóż z lewej, a małą łyżeczkę u góry. Serwetkę, dziś zieloną składam w trójkąt i układam po prawej obok widelca. Szklanka na napój, czyli mój ulubiony kompot ze śliwek, wędruje też na prawo, na górę nad widelec i serwetkę.

Siadam na swoim krześle, na tym z lewej. Mama kładzie na stół misę z ziemniakami i koperkiem, które lubię i sałatkę z marchewki i pora, której nie lubię. Zbyszek siada, przestawia szklankę na kompot i zastępuje ją butelką piwa. Znowu burzy moją pracę, pije piwo, chociaż wie, że ja też chcę, ale nie mogę. Powinien chociaż zaproponować, wtedy bym się zgodził, ale mama by się nie zgodziła i wtedy bym piwa nie dostał, ale byłoby lepiej bo by zaproponował. Ale nie proponuję.

Wbijam nóż w mięso. Lubię to chrupnięcie panierki, ten dźwięk jest miły. Wkładam mały kawałek do ust i... coś tu nie gra. Mięsko ma dziwny smak. Nie jest delikatne, jest jakieś kwaśne. Dziwne, twarde, nieprzyjemne. Wypluwam je szybko na talerz.

– Co to jest? – patrzę na mamę, a ona patrzy na swój talerz, na którym znajduje się to kotelto—podobne coś.

– Kotlet debilu... Jedz nie gadaj. – Zbyszek odpowiada za mamę, nie lubię tego.

– To nie jest kotlet! – zaciskam rękę na widelcu i nożu.

– Tak kurwa, to jest kotlet. – Zbyszek wyciera usta rękawem. – Kotlet schabowy. Ze Schabu. Ze świni, tak jak należy, a nie z tego pierdolonego kurczaka.

– Nie będę tego jadł! – jednym ruchem zrzucam talerz na ziemię, gdzie ten rozbija się z głośnym brzękiem.

– To nie jedz!! – wrzeszczy Zbyszek, a kawałki ziemniaka wypadają mu z ust na stół – Jak dla mnie, możesz zdechnąć z głodu. Może wtedy będzie spokój.

– Zbyszek! – mama wtrąca się do rozmowy. – Nie mów tak!

– A co?! Może kłamie? Może mówię nieprawdę?! – Zbyszek podnosi głos coraz mocniej, a ja coraz mocniej zaciskam rękę na sztuccach. Mamie coraz mocniej szklą się oczy.

– Ten debil ma 32 lata, nie pracuje, bo jest pierdolnięty, do niczego się nie nadaje – wskazuje widelcem na mnie. – No może zaprzeczysz?

– Tak! Tak, zaprzeczę! To nie jego wina! Przecież sobie tego nie wybrał! To choroba! Przecież wiesz!

– Gównu nie choroba! – Zbyszek pociąga tyk piwa – jest pierdolnięty, za dużo ćpał,

za dużo mu pozwalałaś, a za mało wymagałaś i kazałaś. Kurwa kobieto mamy zamek w drzwiach sypialni, bo nie wiesz co mu się uroi, co odjebie, nigdy nie masz pewności czy będzie tylko gadał o tych swoich urojonych ludzikach, czy znowu wypierdoli wszystkie ciuchy z szaf i poprzestawia meble, bo musi zbudować fortece. – Zbychu spogląda na mnie z pogardą. Nie lubię jak tak patrzy.

– Bierze leki! Czasem są lepsze, czasem gorsze dni, a takie twoje gadanie nie pomaga! Tylko utrudniasz! Mogłam zrobić normalnego kotleta ale nie. Ty musiałeś wymusić swoje, a wiedziałeś przecież, że go to zdenerwuje.

– To jest JEBANY KOTLET! Powinien być wdzięczny, że w ogóle dostaje żreć.

– To jest mój syn! – mama podniosła się na rękach i popatrzyła groźnie na Zbyszka.

– To jest debil! Debil, idiota i psychol! Powinniśmy zamknąć go w szpitalu zanim coś się stan... – Zbyszek nie dokończył, nie lubię szpitali, nie wrócę tam, mówiłem, że nie chcę.

Mama zaczęła wrzeszczeć. Złapała telefon i wybiegła z domu. A ja stałem dalej obok Zbyszka z nożem wbitym w jego oko krew spływała mu po policzkach. Była ciepła. Nigdy nie lubiłem Zbyszka. Ale jest w nim ładna krew. Ma czerwony kolor. Lubię czerwony.

AGA ŁADOCHA

Kobieta z parku

Kolejny dzień w pracy przedłużał się w nieskończoność. Choć godziny jej pracy dawno minęły, to ciągle przybywało nowych zadań, takich na „tylko pięć minut. Kolejne sprawy rosły na jej biurku niczym grzyby po deszczu. Obróciła się do jednej to zaraz za nią wyskakiwała kolejna. Zakończenie kwartału rządziło się swoimi prawami, więc nie dziwiła jej dziesiąta godzina spędzana w biurze. Pilnowała, tylko żeby raz na godzinę przespacerować się po szklankę wody, kubek kawy albo na sekundę do toalety. Dzięki temu nie musiała wydawać fortuny na fizjoterapeutę, który tylko sobie znanymi sposobami potrafił ją postawić na nogi po maratonie związanym z zakończeniem kwartału.

Za oknem powoli zapadał zmrok. Liczne latarnie próbowały go odegnąć pomarańczowym blaskiem. Światła uliczne, przebijające się przez gęste korony drzew, dawały złudne wrażenie, że wcale nie było tak późno. Poza tym zachód słońca w ostatnim tygodniu września przychodził zaskakująco szybko. Nim dzień na dobre się rozpoczął, już gościł w różowo—pomarańczowym spektaklu rysowanym na często jeszcze bezchmurnym niebie.

Nikola odgarnęła z czoła cienki kosmyk, który wyswobodził się z grubego rudego warkocza. Czas spędzony przed ekranem robił swoje – cyfry zaczęły skakać po monitorze. Planowała tylko dokończyć raport, który miała oddać do końca tygodnia. Co prawda był dopiero wtorek, ale kobieta lubiła wyprzedzać terminy. Lubiła mieć zapas na ewentualne poprawki. Nie przepadała za oddawaniem pracy na ostatnią chwilę. Choć nawet wtedy dbała o jakość wykonywanych zadań, nie potrzebowała dodatkowego stresu. Nie musiała czuć adrenaliny ani w pracy, ani w życiu codziennym. Dlatego zarówno rachunki, jak i raporty zawsze były zrobione przed czasem. No chyba że była zmuszona pracować w grupie, a niektórzy jej członkowie mieli inne pojęcie tego, co znaczy „robić coś na ostatnią chwilę”.

Z nadzieją spojrzała ponownie na tańczące cyfry, ale te nie chciały stać w miejscu. Zrezygnowawszy z dalszej pracy, kliknęła w ikonę zapisu i zamknęła system. Spakowała drobiazgi, które w ciągu dnia rozproszyły się po blacie. Rozprostowała ramiona i na

długą sukienkę w maki zarzuciła ciemny płaszcz. Jeszcze szczelnie owinęła odkrytą szyję chustką i zarzuciła plecak. Zgasiła światła i po odbiciu karty przy drzwiach wyjściowych zanurzyła się w szarówkę Wrocławia.

Przecięta krótką ulicę pełną starych, ponemieckich willi, otoczonych wianuszkami wciąż zielonych drzew. Po chodnikach wałęsały się pierwsze złote i brązowe liście. Krokom ludzi nie towarzyszył jeszcze szum, który stanowił najdoskonalszy podkład muzyczny jesieni. Mokre liście nie przyklejały się do butów, a w powietrzu nie unosił się delikatny odór zgnilizny. Tylko chłodny wiatr i zachód słońca krótko przed dziewiętnastą zdradzały zbliżający się ponury i smutny czas w roku. W tamtym momencie świat żył jeszcze żywym wspomnieniem lata.

Nikola zbliżała się do fragmentu trasy, który lubiła najbardziej. Między nowymi blokami, wąską, mieszczącą maksymalnie jedną osobę, ścieżką trafiała na chwilę do innej rzeczywistości. Znikała na moment z szarej mapy Wrocławia. Wpadała w objęcia zieleni traw i strzelistych pni dębów, brzoź, buków, platanów i klonów. Zagłębiała do królestwa wiewiórek, gawronów, wron, wróbli, a także gołębi. Na kilkadziesiąt metrów zapominała, że zaraz za krawędzią zielonych traw przez czarne drogi przetaczają się kolumny samochodów. Zapominała, że gęste tłumy przemieszczają się z punktu A do punktu B, nie zwracając uwagi na otaczający ich świat. Na chwilę stąpała się z ubogą namiastką lasu. Na chwilę natura wysuwała się na pierwszy plan. I nawet kiedy ciemność obejmowała brązowo—szare pnie drzew, Nikola czuła pulsujące pod skórą ziemi życie.

Zwolniła kroku, żeby przedłużyć ulubiony moment dnia. Stąpała ostrożnie, bo nie wszystkie parkowe alejki były dobrze oświetlone. Na szczęście przemierzyła je już tyle razy, że mogła iść z zamkniętymi oczami.

Zbliżała się do dużego skrzyżowania uliczek, kiedy dostrzegła niską kobietę, która... tak, Nikola się nie myliła. Przy największym, najbardziej rozłożystym dębie stała starsza pani i rozmawiała z drzewem. Przykładała ucho do pęknięcia w korze, a następnie odsuwała się i coś odpowiadała.

Nikola nie mogła się powstrzymać i stała, przyglądając się ekscentrycznej staruszce. Z odległości kilkunastu kroków wydawała się bardzo mała. Mogła sięgać jej co najwyżej do ramion. Na czubku nosa wisały jej okulary w drucianych oprawkach, a krótkie siwe włosy sterczały jej, nomen omen, dęba. O ile to możliwe, była ubrana jeszcze dziwniej. Ciemnobezowa spódnica szorowała po trawie, a na górę miała zarzuconą skórzaną kamizelkę, spod której wystawała biała koszula z bufiastymi rękawami. Mimo panującego chłodu nie miała na sobie płaszcza ani szalika. Z wyglądu przypominała Nikoli hipiskę — wolny elektron na orbicie świata.

— Też go słyszysz — odezwała się niespodziewanie starsza kobieta.

Nikola rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegała nikogo, do kogo mogły być skierowane te słowa.

– Do mnie pani mówi? – zapytała niepewnie. Ignorowanie starszych byłoby niegrzeczne, choć słowa tamtej nie miały żadnego sensu.

– A widzisz tu kogoś innego? – Mrugnęła i czule poklepała pień dębu. – Oczywiście, że go słyszysz. Inaczej nie zwróciłabyś na mnie uwagi. Przychodzę tu od piętnastu lat i nikt nigdy nie przyglądał mi się tak jak ty. Nikt nie zwrócił uwagi, że odpowiadam drzewu. Nikogo nie obchodziło moje zachowanie. A nawet jeśli mnie widzieli, to albo pędzili dalej, zajęci własnymi sprawami, albo traktowali jak nieszkodliwą wariatkę, która naczytała się ezoterycznych bzdetów. Dopiero ty mnie dostrzegłaś. Dopiero ty mnie widzisz.

KASIA LENART

Ostatnia kropla życia

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zdenerwowany głos Prishvi dobiegał z modułu sanitarnego. – Dlaczego mnie nie obudziłaś? Jak długo trwa awaria?

Milczałam.

– Musimy natychmiast naprawić system filtracji i mineralizacji wody! Inaczej stracimy moduł podtrzymywania życia!

Wciąż milczałam, wpatrując się w rząd kontrolki migających na czerwono. Miarowy rytm zapalania się i gaśnięcia diod LED sprawiał, że czułam się jak w transie. Zahipnotyzowany.

Kątem oka dostrzegłem, jak z modułu sanitarnego wyłaniały się, wijące niczym węże, czarne włosy, a po chwili pojawiła się ich lewitująca właścicielka – Prishvi. Bo któż inny mógłby to być?

Prishvi płynęła w moją stronę jakby w zwolnionym tempie, wykrzykując po drodze przekleństwa na zmianę z imionami hinduskich bóstw. Zdawać by się mogło, że będąc tu, gdzie właśnie się znajdowaliśmy, bogowie i boginie usłyszą wołania Prishvi i swoją boską mocą sprawią, że zdarzy się cud. Nic bardziej mylnego.

Razem z Prishvi znajdowaliśmy się bowiem na stacji kosmicznej MISS – Mars International Space Station – krążącej bezwładnie po orbicie Marsa. Byliśmy obecnie oddaleni o mniej więcej 300 milionów kilometrów od Ziemi, od naszych domów i naszych najbliższych.

Misja, w której braliśmy udział, rozpoczęła się osiem miesięcy temu. W marcu wystartowaliśmy z Przylądka Canaveral i siedem kolejnych miesięcy spędziliśmy w podróży na orbitę czerwonej planety. Miesiąc temu wreszcie zadokowaliśmy na MISS. Naszym zadaniem było przeprowadzić szczegółowe badania składu atmosfery Marsa. Pierwotny skład misji liczył czworo astronautów, w tym mnie. Byliśmy grupą astrofizyków marzących o eksploracji kosmosu. Wiele lat przygotowywaliśmy się do tej życiowej misji, poczynając od szkoleń inżynierskich, elektronicznych, mechanicznych, na medycynie ekstremalnej kończąc. Wyprawa na marsjańską orbitę była dla nas zwieńczeniem dekady przygotowań.

Dziś jednak z pierwotnego składu przy życiu pozostało dwoje członków załogi – Prishvi i ja.

Wiadomość o uderzeniu asteroidy w Ziemię nadeszła 246 dnia naszej wyprawy. Sygnał nadała załoga z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej stacjonującej na orbicie ziemskiej. Zgodnie z ich relacją, fale tsunami wywołane uderzeniem mogły zalać aż 80% powierzchni lądów. Brak jakiegokolwiek sygnału z ziemi. NASA milczała. ESA milczała. ISRO milczało. W końcu i załoga ze Stacji na orbicie ziemskiej zamilkła. Cisza w eterze była porażająca, jednak wciąż czekaliśmy na sygnał.

Na wieść o katastrofie na Ziemi, Jeff – astronauta ze Stanów Zjednoczonych dostał śmiertelnego w skutkach zawału. Próbowaliśmy go ratować, jednak było za późno – już nic nie dało się zrobić. Francuz – Jean–Luc natomiast w rozpaczy odebrał sobie życie. Oba ciała wypuściliśmy przez śluzę w przestrzeń kosmiczną.

Pozostało tylko nas dwoje w ciemnej otchłani wszechświata.

– Matt, do jasnej cholery, ocknij się, musimy działać! – ostry głos Prishvi podział na mnie jak kubek zimnej wody, wyrывая z letargu.

– Prishvi... ja nie wiem, czy dam radę... To dla mnie za dużo – ukryłem twarz w trzęsących się dłoniach. – Nic nam już nie zostało Prishvi! Nie mamy dokąd wracać. Nie mamy do kogo wracać! Nasze rodziny, przyjaciele... oni wszyscy nie żyją!

Nagle poczułem, że policzek lekko zaczyna mnie piec. Prishvi starając się pokonać nieważkość, przyłożyła mi z liścia w twarz.

– Matt, zabieraj narzędzia, jak nie naprawimy systemu filtracji, to za kilka dni dołączymy do Jeffa i Jean–Luca!

Prishvi miała rację, wody zostało nam raptem na kilka godzin. Bez systemu filtracji i mineralizacji wody czekała nas pewna śmierć.

Awarię odkryłem godzinę temu, pełniąc swoją wartę, podczas gdy Prishvi spała w swojej kabinie. Katastrofa, a wręcz koniec Ziemi – świata, jaki znaliśmy – sprawiła, że chyba postradałem zmysły. Nic nie powiedziałem Prishvi. Zrobiłem to celowo. Ogarnęła mnie taka panika, że pierwszą moją myślą było „zabić Prishvi”, byleby tylko zatrzymać resztę wody dla siebie. Tak długo nad tym myślałem, że moja towarzyszka zdążyła się obudzić i odkryć awarię. Jej uderzenie w twarz i ostry ton otrzeźwiły mnie natychmiastowo.

– Matt, posłuchaj mnie teraz – naprawiamy system, następnie obieramy kurs na Marsa. Dość czekania na sygnał ze stacji z orbity ziemskiej. Spróbujemy wylądować w pobliżu stacji badawczej na Marsie.

Prishvi położyła dłoń na moim ramieniu i skinęła głową. Chyba dopiero wtedy zacząłem wracać do pełni sił. Również tych mentalnych. Trzeba było działać.

Dopłynąłem do jednostki sanitarnej, pokonując nieważkość. Chwyciłem torbę z narzędziami. Czy damy radę? Czy zdołamy dotrzeć do stacji na Marsie? Ze strachem patrzyłem na ostatnie krople życiodajnej wody, lewitujące w kolumnie osmotycznej...

LUIZA MASZEWSKA



– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O czym?

– No o tym?!

– O czym tym? – próbowała się jeszcze wywinąć.

– Nie udawaj Ewelina, przecież widzę – podniesionym głosem powiedziała ciotka, a Ewelina nagle pomyślała, że przyjazd tu to jednak był błąd. Ciotka była lekarzem, to prawda, ale do tej chwili Ewelina jakoś nie skleiała, że to może w czymkolwiek przeszkadzać. Dentysta to przecież nie jest lekarz, który zagląda do mózgu jak psychiatra, a ona nie ma tego na czole wypisanego. A może ma? Jesssuuu, jak to jest, że to, co udało się ukrywać pod wielgachną bluzą z kapturem, przed nie do końca rozgarniętymi, za to wiecznie zajętymi sobą rodzicami, ciotka z rentgenem w oczach prześwieciła tak od razu? A może blefuje?

Wczoraj po przyjeździe do starego domu po babci, który teraz był teraz niepodzielnym królestwem ciotki, Ewelina poczuła jakby przybiła do upragnionego portu. Jej ciało wykończone stresem powiedziało stop, bo ledwo trzymała się na nogach. Tak bardzo jej się chciało spać. Zjadła szybko ulubione kopytka z masłem, a potem w reakcji na kilka pytań w stylu: „Dobrze cię widzieć dziecko, ale czemu Ty tutaj tak w trakcie semestru? Czy coś się stało?” powiedziała tylko wymijająco, że musi pomyśleć, odpocząć od rodziców i że najlepiej to zrobić tu w domu babci i że: „znana ciocia matkę”. To wytłumaczenie na chwilę podziałało, bo ciotka знаła swoją siostrę jak nikt inny. Wkrótce potem Ewelina mogła już uciec przed stadem nieodstępujących jej na krok demonów, prosto w głęboki, długi sen.

Niestety nastał ranek. Demony wróciły i w dodatku ciotka osaczyła ją od razu przy śniadaniu. Wpatrywała się w nią teraz poważnymi, czarnymi oczami, niby takimi jak u mamy, a jednak więcej w nich było zawsze zrozumienia i cierpliwości. Ewelina uświadomiła sobie, że nie ucieknie i po to właśnie przyjechała. Żeby ktoś z niej to wreszcie wyciągnął, żeby nie musiała tej tajemnicy targać ze sobą, gdziekolwiek się nie ruszy. Podświadomie już wcześniej wiedziała, że ciotka się nie podda i wydobędzie z niej prawdę.

Tylko to było takie trudne, tak bardzo nie przechodziło przez gardło, tkwiło jak zadra i bardzo, bardzo bolało.

Cisza moszcząca się nad stołem zaczęła coraz więcej ważyć. Wreszcie wystarczyło już tylko, że ciotka westchnęła:

– Oj, dziecko, dziecko – a Ewelina wybiegła z domu z płaczem.

Nogi zaniósł ją prosto nad jezioro, na stary pomost, ukryty w trzcinach, między dwiema olbrzymimi olchami. Patrzyła na wodę i płakała. Płakała i w tym płaczu rozmyła się cała jej pewność i przeświadczenie, że nie ma innego wyjścia, że tak musi. W oddali zobaczyła zbliżającą się wolnym krokiem ciotkę. Łzy nie chciały przestać płynąć, ale już ich nawet nie powstrzymywała. Ciotka zamknęła ją w ramionach i powiedziała najłagodniej:

– Cięża to nie koniec świata. Zobaczysz, ułoży się, wszystko się ułoży – gładziła Ewelinę po włosach.

A ona płakała nieprzerwanie i udało jej się tylko wydusić z siebie:

– Ale ja już nie jestem w ciąży, ciociu.

Słowa, razem ze łzami poniosły się po jeziorze. A ono trwało, niewzruszone. Uścisk ciotki nie zelżał nawet odrobinę. Mocny i akceptujący. Stały tak, wtulone w siebie, a Ewelina długo jeszcze nie umiała oderwać wzroku od spokojnej wodnej tafli.

EWA BRZESKA

Przedświąteczna afera

Pani Santa wpadła z rozwianym włosom do gabinetu męża.

– Kochanie! – zawołała od progu ze zdenerwowaniem – jest gorzej niż 3 lata temu, kiedy Dżizas powiedział, że to były jego najgorsze urodziny i że... Nie dokończyła zdania, bo zdała sobie sprawę, że w fotelu przy biurku męża siedzi nie Santa a Dziadek Mróz i spokojnie popija kawę z ulubionego kubeczka Mikołaja z nogami rozłożonymi nonszalancko na zabytkowym, dębowym blacie.

– O Miśka, cześć – powitał ją Dziadek Mróz – a to Misza ci nie mówił. Przecież pojechał na ten swój zlot motocyklowy do Wejherowa. No było to co prawda na wariackich papierach organizowane i ostatnią chwilę, to fakt. Ale znasz go, marzył o tym od dawna, ale jakoś nigdy się nie złożyło. Poprosił mnie o zastępstwo no i oczywiście, że się zgodziłem, w końcu jak ci Santa wisi przysługę...

Pani Santa popatrzyła z niedowierzaniem na Dziadka Mroza, bo tydzień przed Wigilią a Mikołaj wyjeżdża, „coś mi tu śmierdzi” – pomyślała, ale niczego nie dała po sobie poznać. Nie trawiła tej ruskiej onucy i nie miała zamiaru dawać mu satysfakcji z tego, że wie więcej niż ona. Zamiast tego odpowiedziała:

– No tak, no tak, zapomniałam, że to już dziś, byłam pewna, że mówił „po świętach”. Coś mi się musiało pomylić – dokończyła już wycofując się za drzwi gabinetu.

A tymczasem Mikołaj w najlepsze bawił się na dorocznym posezonowym zjeździe motocyklistów w Wejherowie. Miasto pierwszy raz zorganizowało taką imprezę, ale już od początku widać było, że będzie ona hitem. Podstarzali mężczyźni w wieku Mikołaja i o podobnym do niego wyglądzie tyle, że w skórzanych kurtkach i spodniach, bawili się wesoło na rozstawionym w tym celu sezonowym targu. Targ pełnił równocześnie funkcję jarmarku świątecznego z uwagi na to, że miasto nie miało tyle placów na swoim terenie, żeby obie imprezy zorganizować osobno. Ale najwyraźniej pasowało to wszystkich zgromadzonym. Motocykliści popijali grzańca, eggnoga, piernikowe likiery albo korzenne piwko zagryzając pierogami „jak u babci na wsi”, pajdami chleba ze smalcem i kiszonym ogórkiem „jak od dziadka z ogródka” a tymczasem zaaferowane dzieciaki gapily się z zachwytem w stojące na parkingu motory nie przeszkadzając

zupelnie rodzicom w swiatecznych zakupach. Mikołaj był wniebowzięty, od razu znalazł wspólny język z kolegami motocyklistami. Gadali o najnowszych modelach oraz klasykach, posezonowych naprawach, kupowaniu staroci, żeby je potem odpicować na błysk oraz o innym sprzęcie i ciekawostkach. Gdyby to zależało od Santy to prezenty rozdziłby na Harleyu. Kto wymyślił taki upierdliwy i niewygodny środek transportu jak sanie, może parę setek lat temu, jak były normalne zimy to miało sens, ale teraz... Tak czy siak Santa zapomniał zupełnie o robocie, tym bardziej, że na straży biznesu stał przecież Dziadek Mróz, który i tak wisiał mu przysługę, a doświadczenie w końcu miał, może na mniejszą skalę, ale zawsze. Poza tym 3 dni to przecież nie wieczność, zdąży wrócić, zapląć wszystko na ostatni guzik tuż przed wigilią i nawet nikt nie zauważy jego nieobecności. Zupelnie nie był przygotowany na aferę, która wybuchła podczas jego wyjazdu. Kiedy zobaczył na wejherowskim jarmarku Miškę nie od razu zorientował się, że coś tu śmierdzi, choć jej mina nie wskazywała na to, że przyjechała dołączyć do zabawy.

– Mikołaju Santa Klausie – zawołała jego małżonka, kiedy ich oczy spotkały się w tłumie.

„Ocho, to nie zwiastuje nic dobrego” – pomyślał Santa.

– Ty tutaj bawisz się w najlepsze – ciągnęła Miška – a tam wszystko się sypie. Najpierw wybuchł strajk Elfów, potem taśma produkcyjna nawaliła i dział zakupów musiał zakontraktować chińskie fabryki. Chińskie fabryki, Santa! Przecież oni zatrudniają tam dzieci, a te ich warunki pracy, przecież tam nie ma żadnego BHP!! – coraz głośniej i głośniej mówiła pani Santa, machając przy tym rękami na wszystkie strony.

A potem jeszcze reniferzyce zagroziły, że w tym roku zamiast nich ciągnięciem sani zajmą się ich mężowie, bo nikt nie docenia „w tym pierdolniku”, jak to skomentowała Rudi, niewidzialnej pracy kobiet. I że one mają dość stereotypów i że wszyscy uważają, że to faceci ciągną sanie i że dział PR od lat z tym nic nie robi, chociaż one piszą petycje, listy i prośby, a nawet groźby. Nieważne, że już i weterynarze i zoologowie dementują płęć reniferów przedstawianych w pop kulturze a PR wciąż milczy.

Dziadek Mróz jest zupełnie niekompetentny i do zarządzania stosuje ruskie techniki z czasów komuny, normalnie Putin mógłby się od niego uczyć – krzyczała już, oburzona żona Mikołaja. A poza tym jak dla mnie to on specjalnie się zgodził, żeby sabotować twoją osobę, a nawet wygryźć cię ze stołka.

– Ech dwa dni mnie nie ma i już wybucha afery – westchnął Santa – a tak dobrze się bawił i hooy bombki strzelił, musi wracać do kieratu. Jak sam nie dopilnuje to nikt nie ogarnie.

WIKTORIA

Bajaderka

– Chyba mi się odechciało jeść – oznajmiłam spoglądając na kolejkę do kawiarni „Pan Bombonierka” przy ul. Nowosieleckiej w Warszawie. Przyszedł weekend i człowiek chce się odchamić, wydać te ciężko zarobione PLN–y na siebie, a NIE na kocie jedzenie ani na kolejny drapak, który moje czcigodne księżniczki będą mieć w dupie, bo to nie pu-
dło. A tu jak zawsze, typowa Warszafka, nikt nie ma kasy, ale wszyscy mają kasę. No ja też nie mam kasy, ale wiadomo, ciastko i kawa musi być raz na miesiąc. Albo i częściej, w końcu Warszawa, a ja nie mam kasy.

– Oj daj spokój Malwa, to tylko z dziesięć osób, szybko pójdzie – odparł Edek, mój chłopak. Przepraszam, partner, bo w tym wieku to już partner, narzeczony, mąż, kij wie jak jeszcze. Ostatnio czytałam w tzw. Internetach, jak jedna pani pytała drugą panią czy też ją tak wkurza jak ktoś mówi do niej per „dziewczyna”. Parsknęłam śmiechem i w myślach odparłam „Dziewczyno, oczywiście że nie!” Ludzie, to mają problemy. A ja jak zawsze, zmarnowałam swój cenny czas na czytanie każdej odpowiedzi by podenerwować się jeszcze bardziej. I tyle z zasypiania bez niebieskiego ekranu wg wskazówek Instagramowych lekarzy. Wiadomo, trzeba dbać o dobry sen.

Także ten... Edek stoi oczywiście zniecierpliwiony, bo to już jest trzecia kawiarnia, z której chce uciec, bo kolejka. Może ma racje, pewnie szybko pójdzie. No ale...

– Edziu, piździ złem tutaj! – dolewam oliwy do ognia.

– I co ty sobie myślisz, że jak już tam wejdiesz, to się zrelaksujesz, kiedy wiesz, że inni stoją w tym mrozie?

– Przestań Malwa, zawsze to samo. Chcesz wyjść z domu, bo przecież nigdzie Cię nie zabieram, a później nie chcesz czekać i narzekasz, że nie wychodzimy. I jak zawsze, cała niedziela zjebana, bo masz wyrzuty sumienia, że nic nie zrobiłaś przez weekend i ja zaczynam się też czuć źle, chociaż nie chce, ale ty oczywiście robisz wszystko byś nie czuła się wyobcowana w tym samobiczowaniu.

– Nic nie rozumiesz Edziu, jak zawsze. Stary facet z Ciebie, a dalej nie rozumiesz tych ciężkich dylematów kobiety po 30–tce.

– Tak, tak, co ja wiem. Proszę Cię, wytrzymajmy, to usiądziemy i zjemy.

– W miłej atmosferze, ma się rozumieć? – zapytałam przekornie.

Już widzę jak wpierniczam bajaderkę i pije cappuccino na szybkości wpatrzona w zirytowanych ludzi na zewnątrz. Oczywiście, nie odzywam się do Edmunda, bo już mnie leciutko wkurwił. No a poza tym, to ludzie czekają.

– Jak tak będziesz się dalej zachowywać, to pewnie nie w miłej – odburknął.

– Wszystko zależy od Ciebie moja Kochana Malwinko – dodał sarkastycznym tonem.

Wkurwia mnie jak mnie nazywa Malwinka, bo kim ja jestem, dziewczynka? Tak, grunt to być konsekwentnym w podejściu do siebie i innych. Cudownie jest być kobietą.

– Patrz weszła jedna osoba – dodałam z uśmiechem triumfu patrząc jak kolejka powoli się ruszyła.

Edek tylko zerknął i westchnął głęboko, bo wiedział że i tak nic nie wskóra. A kolejka oczywiście ruszała się w tempie listopadowym albo styczniowym, kiedy czekasz na święta lub na wiosnę, a tu ni chuja, opór z każdej strony.

– A w ogóle to bezsensu, że single mogą w weekendy przychodzić – odparł nagle Edmund niczym guru utajnionych mądrości tego świata.

– Jak to? – zapytałam, chociaż wiedziałam co odpowie, ale chyba chciałam już dobić ten dzień i siebie jeszcze bardziej.

– No bo taka jedna osoba, to co ona może wziąć w tej kawiarni? I pewnie zajmie stolik dla dwóch osób, co jest w sumie stratą dla biznesu i dla klientów, którzy czekają w kolejce.

– Wyobraź sobie Kochany Edziu, że samotne osoby albo takie, które są głodne może też chcą wpałaszować bajaderkę i wypić kawę w sobotnie popołudnie?

– No tak, tak – Edmund przyznał mi racje słownie, ale całe twarz mówiła, co innego.

– Może powinny istnieć kawiarnie dla takich osób. I w sumie takie osoby by mogły kogoś poznać i później wspólnie sobie wychodzić właśnie do takich już normalniejszych miejsc – odpowiedział Edek rozmyślając nad sensem tego świata jednocześnie uznając, że bycie w związku rozwiązuje wszystkie najgłębsze problemy każdej jednostki.

Mogłam coś odpowiedzieć, ale uznałam, że Edek i tak nie zrozumie. W sumie on od zawsze z kimś był w związku. Od czasów piaskownicy. Zasmarkaniec pocałował Natalkę w wieku pięciu lat i się zaczęło. Jesteśmy już razem dwa lata, po tym jak rozstał się ze swoją licealną dziewczyną. Co on wie zatem o samotności? Albo jakby to powiedział Boguś Linda – Co ty kurwa wiesz o samotności?

– Edziu, myślę, że nie wiesz jak będzie w życiu. Może kiedyś Ty sam będziesz czekał w kolejce do kawiarni – odpowiedziałam zaczepnie.

– Malwinko, przecież my razem będziemy do starości – oznajmił Edmund dumnie i całkowitą pewnością w głosie.

– Chyba go posrało! – to była moja pierwsza myśl.

Boże, czemu taka pierwsza myśl? Miał być przecież mój ostatni, ten jedyny, bliźniak w Piasecznie, ogródek, pies pudel, bo koty to nie wszystko, dwójka dzieci, niedzielne obiady z rodzicami i Thermomix.

I co, nagle olśnienie w kolejce do kawiarni? Malwino Agato Burak, przywołuję Cię do porządku.

– A teraz powinnaś odpowiedzieć: Oj Edziu, wiadomo, że tak będzie – zniecierpliwiony Edmund dodał spoglądając na moją zmieszaną twarz.

Nic jednak nie chciało wyjść z moich ust. Nic. Nie umiem kłamać. Poker face to nie ja, ale boże, chciałabym być jak Lady Gaga w tej chwili. Zapadła między nami minuta ciszy, która dłużyła się niczym minuta w konfesjonale, kiedy ksiądz nie chce ci odstukać byś szła z Bogiem, bo mu właśnie powiedziałaś, że seks nie jest zły, skoro robisz to z miłości do bliźniego. Więc skoro miłość nie jest grzechem, czemu masz się z tego spowiadać? Nie muszę wspominać, że ksiądz nie przyjął dobrze mojego logicznego rozumowania.

Minuta ciszy została w końcu przerwana słabym ogniwem w naszej kolumnie ludzi stojących w kolejce. Druga para na samym szczycie łańcucha pokarmowego opuściła swoje stanowisko posterunkowe i ruszyła w naszym kierunku. Rudowłosa kobieta maszerowała zamaszystym krokiem, a za nią biegł dzielnie jej partner krzyżąc by na niego poczekała. Ucichł szmer rozmów wśród oczekujących, którzy czekali na dalszy rozwój sytuacji.

– Spałeś z moja siostra!! – krzyknęła rudowłosa kobieta.

– To nie tak, Anka, daj wytłumaczyć! – błagalnym tonem wykrztusił jeszcze partner Anki.

– SPALEŚ Z MONIKĄ – Anka na chwilę przystanęła i dobitnie wycodziła przez zaciśnięte usta.

– Przysięgam! Nie spałem, my tylko...

– NIE CHCE CIĘ ZNAĆ – wrzasnęła na naszej wysokości dziewczyna.

YOU GO GIRL, do piekła z nim! Pomyślałam jak przechodziła obok.

– My się tylko pocałowaliśmy, Ania. Byłem pijany! – tłumaczył się nieumiejętnie partner Anki.

Jezu, Ci faceci to są naprawdę czasami głupi. W kolejce ludzie zaczęli się śmiać, bo scena była trochę jak z kabaretu w którym nie bierzesz udziału. Spokojne sobotnie popołudnie, a tyle atrakcji, pomyślałam.

– Widzisz Malwinko, są gorsze problemy niż nasze stanie w kolejce – Edmund dumnie wypalił i mnie przytulił.

Chyba zapomniał o tym wcześniejszym pytaniu. Chyba nie będę już nic mówić. Kłamka jednak zapadła. Poczekałam dzielnie w tej piździawie na moją ostatnią bajaderkę

we dwoje, a później dołączę do kolejki singli by w razie co irytować Edmunda jak go zobaczę z jego nową dziewczyną. Najważniejsze teraz by wejść do ciepłego i zjeść w końcu moja ukochana bajaderkę.

JUSTYNA RODACKA

Koszmar

– Dobra, dobra już wstaję – powiedziałam kompletnie wykończona. Po nieprzespanej nocy jedyne czego chciałam, to to, aby zawieźli mnie do Tworek i wsadzili w kaftan bezpieczeństwa. Wydawało mi się, że ciągle słyszę jej płacz. Jakby nie przestawała płakać. Tej nocy budziła się na jedzenie, zabawę o drugiej w nocy i czwartej rano. A zasnęła przed północą. Wdała się w tatusia, nie ma co.

Płacz stawał się coraz bardziej intensywny, roznosił się po całym domu. – Kurwa już idę – wysyczałam przez zęby zła, niewyspana i potwornie głodna. Podeszłam do Elizy, wzięłam ją w ramiona i mocno przytuliłam. Usiadałam wygodnie w fotelu przeznaczonym do karmienia i tak jak co trzy godziny, przystawiałam Elizę do piersi. – Ciekawe czy można kupić fotel do karmienia nie mając dzieci? Przecież nikt tego nie sprawdza – pomyślałam i parsknęłam śmiechem. Lubię swoje poczucie humoru, jestem nawet całkiem zabawną osobą. Byłam kiedyś duszą towarzystwa, lecz odkąd mam dziecko, towarzystwo jakoś nagle magicznie zniknęło. Ciekawe. Pozwoliłam, aby myśli o przeszłości płynęły przeze mnie swobodnie.

– Ała! – krzyknęłam z bólu. Eliza postanowiła ugryźć mnie w sutek. Szkoda, że postanawia robić to codziennie. – Możesz nie robić ze mnie swojego gryzaka?

Wtedy uśmiechnęła się do mnie tak, że swoim uśmiechem rozświetliła cały pokój. Serio. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego uśmiechu, tak szczerego, pełnego miłości i zaufania do drugiej osoby. – Ja też cię kocham, ale nie gryź mnie więcej – odwzajemniłam uśmiech. Szybki całus, zmiana pieluchy i jesteśmy gotowe na podbój dzisiejszego dnia.

– O której będziesz dziś w domu? – zapytałam Tomka jadąc samochodem. – Muszę wiedzieć, aby jak najlepiej rozplanować dzisiejszy dzień. Dzisiaj jest środa, mała ma rehabilitację.

– Wiem kochanie, pamiętam. Kończę służbę o czternastej. Przyjadę do ciebie do pracy, dam ci buzi, przywiozę obiad i pojedę po Elizę – rozbrzmiewał głos Tomka w słuchawce. Ten głos ujął mnie od samego początku, od dnia kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Mogłabym go słuchać godzinami. – Jedziesz już do pracy? Jak Eliza? Dała Ci dziś pospać?

– Pospać kurwa, nie mogę – pomyślałam i zaśmiałam się w głos. – Twoja córka jest taka sama jak ty. Prowadzi nocny tryb życia. Odwiozłam ją do żłobka, teraz jadę do pracy. Po dzisiejszej nocy mam jej dosyć. Cieszę się, że chociaż w pracy od niej odpocznę. Nie zrozum mnie źle kochanie, kocham ją całym sercem, ale dziś byłam na skraju załamania nerwowego.

– Wiem skarbie. Moje nocne służby niedługo się skończą i to ja będę wstawał w nocy do Elizy, obiecuję – usłyszałam w słuchawce. – Kocham cię, to będzie dobry dzień.

– A ja ciebie, do zobaczenia. Rozłączyłam się. – Jeśli nie wypiję przynajmniej dwóch litrów kawy, to nie będzie dobry dzień. Spojrzałam na siebie w lusterku czekając w korku na zielone światło. Podkrążone oczy zdradzały niewyspanie na matczynym poziomie. Kiedyś podsumował tak Tomek moje ogarnianie świata jako mama, żona i pracownik miesiąca. Matczyny poziom. Z zamyślenia wyrwał mnie klakson auta stojącego za mną. – Kurwa jadę, jadę – powiedziałam do gościa spoglądając w lusterko wsteczne. – Nie rozkojarzaj się jak jedziesz autem – skarciłam siebie w myślach.

– Ciocia a wiesz, że dinozaury kiedyś żyły na ziemi? – zapytał mnie Jasiek. – No mówię ci, tata mi opowiadał.

– Co ty mówisz, a skąd tata wie takie rzeczy? – zaśmiałam się siedząc z Jaśkiem na dywanie.

– Jego tata mu powiedział, proste.

– No oczywiście że tak, proste – potwierdziłam słowa Jaśka.

Praca psychologa w poradni sprawia mi ogrom frajdy. Cieszę się, że mogę porozmawiać z Jaśkiem o czymkolwiek siedząc na beżowym puszystym dywanie. Mój gabinet mieści się z dala od innych gabinetów psychologów. Jest przestronny, ma duże okna, przez które widać ogromny park. Plac zabaw dla dzieci, fontanna, duży wybieg dla psów i mnóstwo spacerowych alejek. Ten widok zawsze napawa mnie spokojem.

Pamiętam Jaśka, gdy przyszedł do mnie pierwszy raz. Miał wtedy pięć lat. Przez pierwszy rok nie odezwał się do mnie ani słowem, aż któregoś dnia zapytał: „Pani Mileno, czy możemy iść do tego parku? Chciałbym pobujać się na huśtawce.” Siedziałam wtedy z nim dokładnie na tym samym dywanie co dziś.

– Pora już kończyć Jasiu – powiedziałam delikatnie. Za tydzień widzimy się znów.
– Dobrze, za tydzień przyniosę mój album z dinozaurami – odparł z uśmiechem na ustach.

Dlaczego to zawsze muszą być dinozaury albo pociągi? Dzieci w spektrum autyzmu nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. Gdy wyszedł, usiadłam na żółtym fotelu przy biurku, na którym leżały dokumenty Jaśka. Sięgnęłam po puszkę mojego ulubionego energetyka, chwyciłam go jakoś totalnie nie tak, jak chciałam i nagle pół puszki zalało całą dokumentację chłopca.

– Nosz kurwa mać – przeklnęłam. W jednej sekundzie próbowałam przeanalizować, które dokumenty są ważne a które mniej ważne, o ile w ogóle tak się da je podzielić, lecz w końcu zebrałam te, które nie zostały doszczętnie zalane. – Nie masz wpływu na niektóre rzeczy, wdech i kurwa wydech – próbowałam uspokoić się w myślach. Kątem oka spojrzałam na zegarek – dopiero wpół do drugiej.

Godzinę później siedziałam na ławce przed poradnią. Postanowiłam pooddychać świeżym powietrzem zanim wrócę do środka. – Na dziś wszystkie indywidualne spotkania zakończone, jeszcze tylko dokumentacja i do domu – wyliczam w myślach. Czekam też na Tomka. Miał przyjechać do mnie z ciepłym obiadem. Może nawet zjemy razem, byłoby bardzo miło, jak za czasów studiów. Prawda jest taka, że trochę na to liczę, ponieważ dawno nie byliśmy na randce. Odkąd urodziła się Eliza jesteśmy cały czas we trójkę, nie licząc dwóch godzin wieczorami przed snem, a to niestety też nie zawsze.

Spostrzegam w oddali pędzące auto. – Kurwa kto tak jeździ w biały dzień jak jakiś pirat drogowy? Czerwona toyota zbliża się w moją stronę i dopiero kilka metrów ode mnie dociera do mnie, że to Tomek. – Co on zwariował?

Zatrzymuje auto przy ławce, na której siedzę. Wyskakuje z samochodu, obiega auto dookoła i w dwie sekundy staje przy mnie. W tym samym momencie robi mi się zimno. Dreszcz przeszywa moją skórę, czuję jak małe igły wbijają się w każdy centymetr mojego ciała.

– Milena musisz wsiąść do samochodu, musimy jechać do szpitala – krzyczy Tomek.

– Do jakiego szpitala? O czym ty mówisz? Co się stało? – byłam bardzo zaniepokojona.

– Chodzi o Elizę.

Słyszę z jego ust padające imię naszej córki i zamieram. Widzę mojego męża jak gestykułuje, jak mówi coś do mnie, lecz nie potrafię go usłyszeć. Tonę. Tonę w ciszy i w szumie krwi, która dociera do mojego mózgu z prędkością światła. Szum w uszach

potęguje się, znika ławka, na której przed chwilą siedziałam, czerwona Toyota i znikam ja. Zapadam się. Tomek chwytą mnie mocno za ramiona.

– Milena musimy jechać.

Wychowałam się w szpitalu. Po dniu spędzonym w przedszkolu, moja mama odbierała mnie, prowadziła do swojej pracy na izbę przyjęć i czekałam tam aż skończy dyżur. Pamiętam jak grałam w kości z innymi pielęgniarkami, nauczyłam się układać pasjansa i grałam w sapera na komputerze. Miałam wtedy dziewięć lat i SOR zawsze kojarzył mi się z domem.

Do dziś. Dziś siedzimy pod salą na izbie przyjęć i czekamy na informacje na temat naszej córki. Oczywiście po przyjeździe do szpitala chciałam tam wejść, ale tak się awanturowałam, że chcieli wezwać policję. Odpuściłam więc i czekam. Chowam twarz w dłoniach. – Dlaczego to kurwa tak długo trwa? – pomyślałam. Nie powinnam tyle przeklinać. Zawsze chciałam się tego oduczyć, ale nic nie poradzę, że słowo „kurwa” jest moim ulubionym słowem w języku polskim. – Dlaczego ja teraz o tym myślę, weź się w garść – skarciłam się w myślach. Rozejrzałam się dookoła. Przede mną widniał wielki zielony napis: „REJESTRACJA” i oczywiście kolejka ludzi do przyjęcia. Na tablicy obok wyświetlały się numerki pacjentów i numery gabinetów. – Jesteśmy tylko numerami – pomyślałam.

– Dlaczego na SOR-ach jest zawsze tyle ludzi? – pytam Tomka siedzącego obok mnie. Odkąd tu siedzimy jego ręka spoczywa na moim kolanie. I z minuty na minutę wydaje mi się, że jest coraz bardziej zimna.

– Państwo Markowscy? – wyłania się z gabinetu lekarz.

– To my – natychmiast wstajemy obydwójce.

– Państwa córka nie żyje.

Koniec.

W imieniu Auterek dziękuję za Twój czas i uwagę.

Będzie nam bardzo miło, jeśli podzielisz się informacją o Pisalniku ze swoimi bliskimi i na social mediach.

